

Poznaj Świat

3

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

2013

str. 24

POLSKA

Zawracanie wiosłem Wisły

str. 42

PAKISTAN

Zimowy Gasherbrum zdobyty!

str. 32

INDONEZJA

Wyspa tysięcy bębnow

W numerze:
Badowski, Mazurek



INDIE

str. 12

TRZY GODZINY: NIEBIESKI

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 6143 02 03



„Warmia i Mazury regionem zjednoczonej Europy”

Projekt dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury na lata 2007-2013 oraz z budżetu samorządu województwa warmińsko-mazurskiego

Żyj spokojnie ...



„Żyj powoli” – tak głosi proklamacja miast skupionych wokół inicjatywy **Cittaslow**. To pochwała kultury dobrego życia. Aby osiągnąć status **Slow**, miasto musi chronić swoje dziedzictwo i lokalne tradycje, dbać o środowisko oraz pracować nad poprawą serdecznej atmosfery. Ruch **Cittaslow** zrodził się we Włoszech i w ciągu piętnastu lat urósł do 166 miast rozsianszonych po całym świecie.

Spółeczności miast **Slow** mają swoje priorytety – podejmują liczne inicjatywy, m.in.: z zakresu zrównoważonej turystyki, edukacji, promocji projektów ochrony lokalnych produktów i rzemiosł. **Cittaslow** zakłada również dbałość o środowisko. Odbywa się to poprzez usprawnienie gospodarki w oparciu o zasadę zrównoważonego rozwoju, „zielone miejsca pracy”, „zielone technologie”, umiejętne wykorzystywanie energii odnawialnej, czyli działania realizowane z wykorzystaniem walorów przyrodniczych. Konieczność poszukiwania i wykorzystywania na tym polu najnowszych technologii nadaje temu sektorowi ogromną kreatywność. Bardzo by się mylił ktoś, kto chciałby postrzegać ideę **Cittaslow** wyłącznie poprzez pryzmat przywiązania do tradycji. Przede wszystkim chodzi o poprawę standardów życia w tych miastach. Jest to filozofia życia łącząca nowoczesność z tradycją. Odznaczenie **Slow City** jest marką zarezerwowaną dla społeczności liczących nie więcej niż 50 tysięcy mieszkańców.

Pierwszym miastem w Polsce, które podjęło to wyzwanie, jest Reszel. To małe warmińskie miasteczko słynie z tego, że posiada idealnie zachowany średniowieczny układ urbanistyczny, co jest rzadkością na terenach, przez które tylokrotnie przetaczały się wielkie wojny, pozostawiając wielkie zniszczenia. Wraz z Reszlem do sieci przystąpiły trzy inne warmińskie miasta: Biskupiec, Bisztynek i Lidzbark Warmiński oraz samorząd województwa jako członek wspierający.

Warmia i Mazury to region pełen uroku, czaru i osobliwości. Znaczne wyniesienia, pola usiane setkami głazów, lasy oraz liczne jeziora, rzeki, strumienie i kanały, które łącząc się, tworzą interesującą sieć wodną, stanowią zasadniczy element krajobrazu. Wśród polodowcowych pagórków i kompleksów leśnych zadomowiły się pełne uroku miasteczka oferujące spokój pasujący do idei **Slow**. Spotkać tu można wiele budowli sakralnych, które na przestrzeni dziejów służyły w różnych czasach różnym wyznaniom. To efekt historii i wielokulturowości. To pierwszy polski region, który przystąpił do Europejskiej Sieci Dziedzictwa Kulinarne, której celem jest promowanie artykułów żywnościowych wytwarzanych w oparciu o tradycyjne receptury i lokalne produkty w sposób nieprzemysłowy, przyjazny dla środowiska i z surowców dostępnych w naszym regionie.

Warto więc wybrać się na weekendowy wypoczynek do małego spokojnego miasteczka, gdzie można spotkać stare rzemiosło, wyroby oparte na regionalnych produktach czy lokalną żywność. Spędzając tu czas, można przypomnieć sobie dawne lata, dawne zwyczaje, naturalny smak domowych potraw i odetchnąć świeżym powietrzem.

Z ofertą **Cittaslow** i miast wchodzących w skład sieci będzie można zapoznać się 19-21 kwietnia na Targach Turystyki i Wypoczynku LATO 2013 w Warszawie (**Cittaslow** będzie tu miało swoje stoisko) oraz 18 maja w Olsztynku podczas dorocznego Festiwalu **Cittaslow**.

Inicjatywa miast **Cittaslow** rozwija się w Polsce dalej – przystąpiły do niej kolejne miasta z województwa warmińsko-mazurskiego: Nowe Miasto Lubawskie, Ryn, Olsztynek i Lubawa, a także Murowana Goślina z wielkopolskiego. W ten sposób polska sieć wykroczyła poza Warmię i Mazury.

Więcej informacji na stronach:

www.cittaslowpolska.pl
www.cittaslow.org





Pakistan str. 42



Indonezja str. 32



Polska str. 24

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

TRZY GODZINY: NIEBIESKI str. 12

W indyjskim Jodhpur jak okiem sięgnąć, niemal każdy dom mieni się w słońcu żywym błękitem. **Sławomir Kozdraś**

ZAWRACANIE WIOSŁEM WISŁY str. 24

Piotr Kuryło przepłynął kajakiem królową polskich rzek, pod prąd. **Zofia Piñasiewicz**

GEOSKOP str. 29

WYSPA TYSIĄCA BĘBNÓW str. 32

Indonezyjska wyspa Alor to bogactwo natury i niezwykłych kulturowych zjawisk. **Małgorzata Jarmułowicz, Zygmunt Leśniak**

MAZUREK NA WYNOS str. 40

Felieton **Roberta Mazurka**

ZIMOWY GASHERBRUM ZDOBYTY! str. 42

Polacy dokonali pierwszego zimowego wejścia na szczyt Gasherbrum I w pakistańskim Karakorum. **Agnieszka Bielecka**

COPACABANA NAD TITICACĄ str. 54

To boliwijskie miasteczko leży nad największym wysokogórskim jeziorem świata. **Filip Choma**

PRZYSTANEK ALASKA str. 64

Półwysep Kenai zachwyca nieskażoną przyrodą. **Sebastian R. Bielak**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 73

Rozmowa z **Krzysztofem Piaseckim**

NAVIGATOR str. 74

NAD RZEKĄ ŻYVICIELKĄ str. 78

Niger to afrykańskie państwo, które nazwę wzięło od przepływającej przez nie rzeki. **Witold Repetowicz**

SEZON NA LODOWCE str. 88

W austriackim Tyrolu jest wszystko: snowparki, setki kilometrów tras, najszybsza kolejka świata i najlepsze „après-ski”. **Eliza Pawłucka**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: WYSPIY OWCZE str. 96

Między niebem a morzem. **Janusz Kafarski**

Z PERSPEKTYWY str. 104

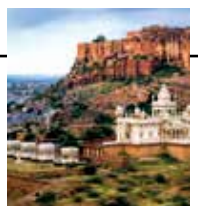
DO ŚMIAŁYCH NALEŻY ŚWIAT

Felieton Ryszarda Badowskiego z perspektywy 65 lat miesięcznika *Poznaj Świat*.

OUTDOOR str. 107

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 110

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
Indyjskie miasto
Jodhpur

Jacek Patrzykont

NEPAL

Takie jaki

Stado jaków schodzi do wioski Namcze Bazar. Te juczne i pociągowe zwierzęta są też ważne dla mieszkańców himalajskich wiosek jako źródło mięsa, tłustego mleka, skóry i wełny, a także nawozu na opał.





Marcin Stańczyk

POLSKA

Świecą gwiazdy, świecą

Przysiółek Rzeki to miejscowość u wejścia do Gorceńskiego Parku Narodowego. Wśród turystów znana jest jako punkt wypadowy wycieczek w Gorce. Noc w górach urzeka rozgwieżdżonym niebem.



Michał Adamowski

POLSKA

Hedwiga z Zakopanego

Kto czytał lub oglądał Harrego Pottera, na pewno kojarzy sowę śnieżną Hedwigę. Ten duży ptak drapieżny z rodziny puszczykowatych gniazduje w tundrach Eurazji i Ameryki Północnej. Zimuje w Skandynawii, środkowej Azji oraz pośród Wielkich Równin Ameryki Północnej. W Polsce spotkać ją można rzadko i tylko zimą na północy kraju. To zdjęcie zrobiłem w Tatrzańskim Parku Edukacyjnym w Zakopanem, gdzie miałem okazję zobaczyć przetrzymywaną „Hedwigę”.





© JOHN E. MARRIOTT (KANADA), „Nastroszony”

John E. Marriott (Kanada)

KANADA

Nastroszony

W Parku Narodowym Jasper, na zaśnieżonej drodze John zauważył grudkę czerni. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to kruk.
– Wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka. Ptak najprawdopodobniej chciał się ogrzać. Unosząc piórka, zatrzymywał pod nimi powietrze, tworząc dodatkową warstwę chroniącą przed zimnem.

KATEGORIA
PORTRETY ZWIERZĄT
II MIEJSCE

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2012, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.
W DNIACH OD 7 MARCA DO 1 KWIECZNIA 2013 R. WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM NARODOWYM PRZY ULICY WAŁY CHROBREGO 3 W SZCZECINIE.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Michał Zieliński

PANAMA

Wycieczka psychodeliczna

Trasa z Portobelo w prowincji Colon w kierunku Isla Grande, małej wyspy na Morzu Karaibskim, wiedzie wśród wszechobecnej zieleni i licznych wzniesień. Delektowanie się urokami przyrody może zepsuć świadomość, że podobno jest to jeden ze szlaków przerzutu kokainy.







Magdalena Jończyk

BIRMA

Na chwałę Buddy

Setki złotych wież otaczają Shwedagon Paya – Złotą Pagodę w centrum Rangun. To święte miejsce dla birmańskich buddystów. Shwedagon Paya i kompleks otaczających ją budynków najpiękniej prezentują się wieczorem. Oświetlone blaskiem zachodzącego słońca wprawiają w zachwyty epatującym ze wszystkich zakątków złotem oraz mnogością ornamentów i zdobień.

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



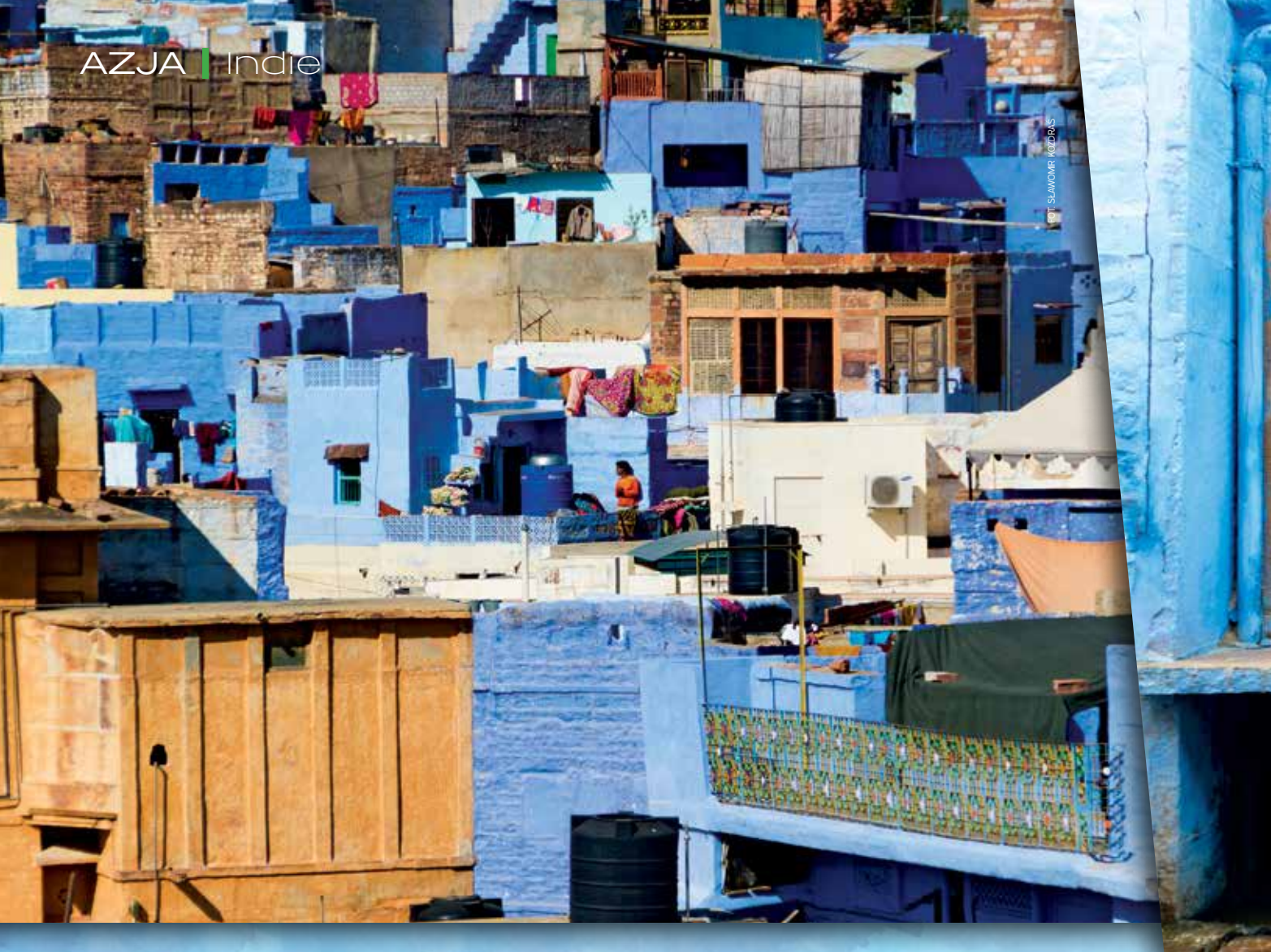
Sławomir Kozdraś

TRZY GODZINY:

NIE BIE SKI

Jodhpur – niebieskie miasto. Intensywnie niebieskie niczym morze, i równie rozległe. Jak okiem sięgnąć, niemal każdy dom mieni się w słońcu żywym błękitem.





FOT. SŁAWOMIR KOTBIS

BŁĘKITNY LABIRYNT

Jodhpur to drugie co do wielkości miasto największego stanu Indii, Radżastanu. Zamieszkuje je ponad 1,2 mln osób.

Cisza. Nie słysząc nikogo ani niczego. Totalna, niczym niezakłócona cisza. Po raz pierwszy od tygodni nic nie wali w bębunki. Po raz pierwszy w Indiach usłyszeć można własne myśli. Jest szósta rano i słońce jeszcze nie wstało nad Jodhpurem.

Na podłodze w holu, na materacu, śpi właściciel hostelu. Wychodzę na zewnątrz budynku i wąskim przesmykiem ruszam w kierunku ulicy. Jeszcze tylko przejście nad otwartym, nieruchomym o tej porze ściekiem i jestem w mieście. Cisza.

BLONDYN DOCIERA DO CELU

Do Jodhpuru dotarłem poprzedniego dnia wczesnym popołudniem. W autobusie moje blond włosy zapewniły współpasażerom kilka-

dziesiąt osobogodzin uciechy. Co odwróciłem wzrok, ktoś w turbanie wlepił we mnie wielkie oczy i dopiero po kilkusekundowym pojedynku na spojrzenia odwracał wzrok. Hałas silnika i krzyk lokalnego biznesmena – gadającego przez komórkę z pasją Włocha – sprawiał, że podróż strasznie się wlokła.

Morze autoriksz z wciśniętymi klaksonami obwieściło, że ostatecznie skończyła się droga przez pustynię i dojechaliśmy do miasta. Jeszcze tylko kilka skrzyżowań, kilka ostrych manewrów omijających krowy wryte w asfalt i byliśmy na miejscu.

Za orkiestrę powitalną robiła kakofonia głosów z dobrze znanym refrenem: „taxi taxi taxi, you want?”. Bez zbędnych uprzejmości wybrałem śpiewaka intonującego najkorzystniejszą cenowo zwrotkę i po chwili mknąłem już w kierunku hostelu.



Miasto jak miasto, na pierwszy rzut oka nijak nie przypominało tego ze zdjęć legendy fotografii – Steve’a McCurry’ego. Wszelchobecny hałas odbijał się od ścian obdrapanych budynków i czarnych dachów riksza. Koloru nadawały tylko migające tu i ówdzie sari i turbany.

Chwilę po dokonaniu formalności hotelowych siedziałem już w taksówce rżężącej na stromym podejździe do głównej atrakcji miasta – ogromnego fortu. Wraz z kolejnymi zakrętami słońce powoli nabierało cieplej barwy. Za murami, na dziedzińcu, słychać było rozmowy turystów i krzyki dzieci grających w krykieta na klepisku. Ekspozyty w fortowym muzeum okazały się zaskakująco bezbarwne, podobnie jak samo miasto. Nic więc nie zapowiadało, że Jodhpur okaże się jednym z najciekawszych miejsc w Indiach.

TRZY TEORIE NIEBIESKOŚCI

Po obejrzeniu pałacowych sal skierowałem się w stronę małej świątyni na drugim końcu fortu. Tam, z jego murów, przy zachodzącym słońcu, zobaczyłem jak na dłoni, z czego słynie miasto. Ciężka do ogarnięcia płatanina ulic, uliczek, przesmyków i ślepych zaułków. I wszystko niebieskie. Jak morze. Na wietrze falowały jeszcze, niczym tysiące żagli, schnące na dachach ubrania.

Dlaczego niebieski? Teorii jest wiele. Według niektórych, kolor ten działa odstraszająco na komary oraz inne insekty – to istotne w kraju, gdzie na malarię umiera rocznie nadal dwieście tysięcy osób. Być może – podobnie jak po wielkich pożarach europejscy władcy nakazywali budowę domów z cegieł, a nie drewna – władca Jodhpuru po kolejnej epide-

DRZWI W DRZWI

Dwa mieszkania w niebieskim mieście. Jak wszędzie, tak i tu sąsiedzi starają się wyróżnić.



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



SŁAWOMIR KOZDRAŚ

FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

NAMASTE, CZYLI WITAJ

Jodhpur budzi się do życia. Święta krowa wychodzi z bramy, dzieci biegną do szkoły, a twierdza Mehrangarh wypełnia się turystami.

mii zarządził pomalowanie ich na kolor niebieski. Ale to czysta spekulacja.

Inne, bardziej wiarygodne źródła, mówią o użyciu koloru niebieskiego, bo to święty kolor braminów zamieszkujących te rejony. Tylko wyższe kasty mogły mieszkać w niebieskich domach, podczas gdy kasta najniższa – „niedotykalni” (dalitowie) – nie mieli takiego prawa. W tej wersji zatem ów piękny kolor mógł być dosadnym narzędziem segregacji społecznej. Teoria o tyle nośna, że społeczeństwo hinduskie, mimo ponad sześćdziesięciu lat demokracji, nadal trzyma się hierarchizacji na tych, którzy „mają i nie mają”: pieniędzy, wykształcenia, szacunku, perspektyw...

Osobiście wierzę jednak w inną teorię. Malować domy na niebiesko nakazał któryś

z władców, po to aby móc wieczorem wyjść na mury fortu i przy zachodzącym słońcu zobaczyć oraz poczuć to, co ja.

JAK BUDZĄ SIĘ INDIE

Teraz na ulicy nie ma nikogo. Pierwszy raz w tym kraju widzę całkowicie wymarłe miasto. W półmroku ruszam w prawo, w głąb wijącej się odnogi z górującymi nad nią kilkupiętrowymi budynkami. Na tle jaśniejącego nieba rysują się sylwetki ptaków śpiących na drutach. Nie znam dokładnie drogi, nie mam też mapy, ale wiem, w którym kierunku podążać, aby jeszcze więcej zobaczyć i przeżyć. Niestety, mam na to tylko trzy godziny, potem ruszam w dalszą podróż.



FOT. SŁAWOMIR WODZIAŁ

Wraz z pojawiającym się światłem na ulicach zaczynają pojawiać się ludzie. Pojedynczo, z miotłami i wiaderkami. Z bram wyglądają śnięte krowy. – *Namaste* – witam człowieka z miotłą i kląnam się. – *Namaste*. Miasto powoli, po cichutku budzi się do życia. A z nim całe Indie, drugi pod względem zaludnienia kraj na świecie.

Podczas gdy jedni zamiatają ulice przed otwarciem sklepu lub rozłożeniem swojego kramiku, inni przy otwartych drzwiach, na widoku, odprawiają poranną modlitwę i ofiarowują bogom dary. Wszystko odbywa się bez słów. Krowy, które wydają się bezpieczne, też budzą się do życia. Co krok widać, jak ludzie wnoszą im chleb (*chapati*) i oddają zwierzętom cześć, dotykając ich czoła.

Na ulicach – sklepiarze, piekarze, szewcy, taksówkarze, jubilerzy, fryzjerzy i rzemieślnicy. Każdy z uśmiechem na twarzy odpowiada na mój ukłon. Panuje sielanka, jakiej oczekuje się raczej po małych miasteczkach, gdzie każdy zna każdego, nie zaś po mieście większym od Łodzi czy Krakowa. Otaczająca mnie przestrzeń zapełnia się kolejnymi postaciami rozpoczynającymi pracę i dziećmi...

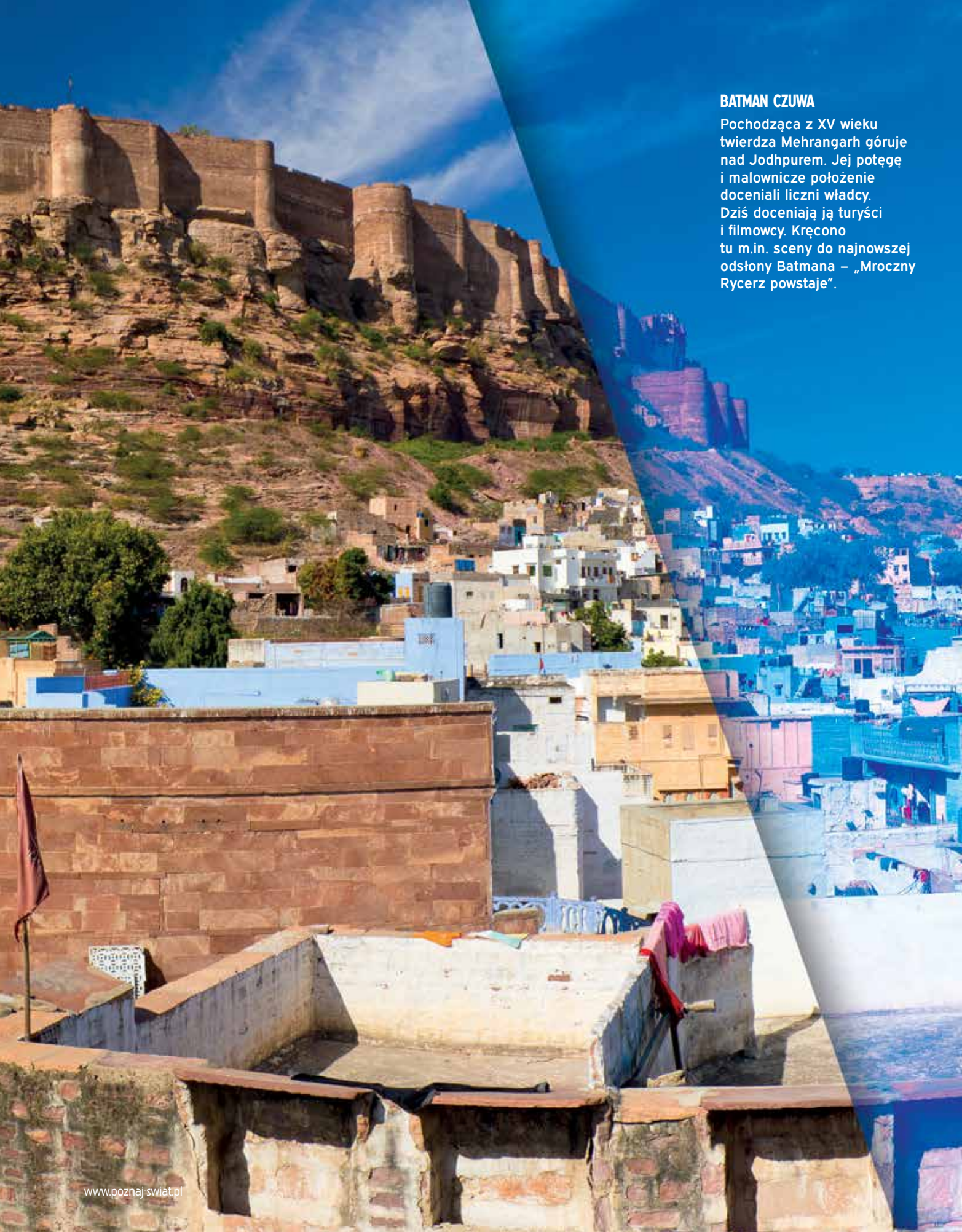
RADOŚĆ I SMUTEK FOTOGRAFOWANIA

Grupki chłopców podbiegają przywitać się, przedstawić po angielsku oraz spytać, skąd jestem i jak mam na imię. Recytują pytania wyczone na lekcjach w szkole. Mimo iż an-

JAKA TO MELODIA?

Brak tylko klucza wiolinowego, by ze śpiących na drutach gołębi ułożyć muzykę poranka.





BATMAN CZUWA

Pochodząca z XV wieku twierdza Mehrangarh góruje nad Jodhpurem. Jej potęgę i malownicze położenie doceniali liczni władcy. Dziś doceniają ją turyści i filmowcy. Kręcono tu m.in. sceny do najnowszej odsłony Batmana – „Mroczny Rycerz powstaje”.



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

NA DOBRY POCZĄTEK
Sprzedawca modli się
przed otwarciem sklepu.

gielski jest językiem urzędowym, w miastach takich jak Jodhpur posługują się nim nieliczni. Chłopcy, w zależności od szkoły do której chodzą, mają różne gustowne uniformy: spodnie w kant, eleganckie blezerki i obowiązkowo krawaty. Wyglądają jak amanci kina z lat 1950.

Dziewczynki też idą do szkoły, ale widać, że ich naturalna dziecięca śmiałość i otwartość zostały zduszone społecznymi normami. Nie tylko nie podbiegają porozmawiać, ale w większości przypadków nie mają nawet odwagi spojrzeć w moim kierunku. To trochę smutne. Ale chyba jeszcze smutniejsze jest to, że gdy wesołe grupki pod krawatami dziarsko wędrują po nauce, wielu ich rówieśników ubranych mniej elegancko bawi się przy ściekach. Oni również reagują na przybysza o jasnym upierzeniu szerokim uśmiechem, a nie znając podstaw angielskiego, komunikują się ze mną na mię.

Dzieci łączy radość życia i miłość do życia fotografowanym. Niemal bez wyjątków każdy chłopiec prosi, żeby zrobić mu zdjęcie.

Woła też kolegów, tatę, wujka, rzadziej mamę. Całe rodziny dumnie pozują, nie prosząc ani o zapłatę, jak to bywa w wielu innych krajach, ani nawet o przesłanie zdjęć. Co ciekawe, jeszcze przed chwilą uśmiechnięte od ucha do ucha twarze dorosłych zastygają w stoickim smutku, gdy w ich kierunku kieruję obiektyw. W kulturze zachodniej jest na odwrót – zdjęcie wymaga hollywoodzkiego uśmiechu.

Jeszcze dziwniejsze wydaje się to, że gdy po zrobieniu zdjęcia chcę modelom pokazać na ekranie efekt naszego wspólnego wysiłku, patrzą ze średnim zaciekawieniem. Właściwie to nie interesuje ich rezultat, lecz proces. Myślę więc, że pozując do zdjęć, biedni mieszkańcy Jodhpuru mogą poczuć się ważni, zakosztować czegoś zarezerwowanego dla ludzi z fortów i dalekich krajów. Może też, utrwaleni na zdjęciu obcokrajowca, w pewnym metafizycznym sensie odbywają z nim podróż w miejsca, o których im się nie śniło? A może, po prostu, chcą być dla mnie mili?



JODHPUR UMIERA CODZIENNIE

Fort, jedyny oczywisty punkt odniesienia, nie jest widoczny z żadnej z ulic. Idę więc przed siebie, nie pytając o drogę i dając się ponieść niebieskiej fali murów, coraz intensywniej odbijających szmer miasta. Coraz mniej osób zwraca na mnie uwagę. Magiczny, monochromatyczny Jodhpur ponownie staje się buzującą mieszaniną klaksonów i krzyków, a wzbijający się kurz coraz bardziej przysłania jego kolor. Zamienia go w odcienie szarości i brązu.

Dochodzi dziewiąta. Już za godzinę muszę wyruszyć w drogę do Udaipuru. Zatrzymuję więc autoriksę i pytam, za ile pojedzie do windy na głównym placu Jodhpur, z którego wiem, jak w pięć minut dojść do hostelu. Kierowca woła: „Trzydzieści rupii”. Po negocjacjach, odbywających się z uśmiechem na twarzy, cena spada do dwudziestu. Sukces. Wsiadam i ru-

szamy. Po dwóch zakrętach i półminutowej przejażdżce jesteśmy na miejscu. „Dwadzieścia rupii” – mówi rozbawiony riksarz. Jego sukces!

Wracam w to samo miejsce, z którego wyruszyłem o świcie, i rozglądam się dookoła: krowy, taksówki, pędzący gdzieś ludzie i wartko płynący ściek. Uliczka w ogóle nie przypomina tej, którą widziałem jeszcze trzy godziny wcześniej, w mroku i totalnej ciszy. Magia przyska, a jej miejsce ponownie zajmuje hałas.

Odkrywcom bez fantazji (i budzika) to magiczne miejsce wydaje się teraz jednym z setek tutejszych, podobnych miast. Tymczasem Jodhpur, jak w hinduskim kole życia, codziennie umiera, by w ciszy odrodzić się na nowo. Niebieskie miasto odkrywa piękno i cud swoich narodzin jedynie tym śmiałkom, którzy gotowi są wejść w jego labirynt. Wejść i dać się ponieść niebieskiej fali. ○

PORANNY PRZEGLĄD PRASY

To ostatnie spokojne chwile, zanim ulice Jodhpuru wypełnią się tłumem i gwarem.



„Warmia i Mazury regionem zjednoczonej Europy”

Projekt dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury na lata 2007-2013 oraz z budżetu samorządu województwa warmińsko-mazurskiego

Kalendarz kulinarnych imprez regionalnych

Kalendarz imprez regionalnych promujących żywność naturalną, tradycyjną, lokalną i regionalną województwa warmińsko-mazurskiego jest cyklem przedsięwzięć organizowanych na Warmii i Mazurach od 2010 roku. Podczas dwunastu wydarzeń, odbywających się na terenie całego regionu w 2012 roku, można było poznać różnorodność i bogactwo smaków lokalnych potraw i produktów. Ich prezentacjom towarzyszyły konkursy, oceniane zarówno przez profesjonalne jury, jak i zebraną publiczność. W trakcie bezpłatnych

degustacji spróbować można było takich przysmaków jak bitki wołowe i wieprzowe, zupy rybne i grzybowe czy placki ziemniaczane. Przewodniczący jury, dr Grzegorz Russak, w serii inspirujących wykładów na temat tradycyjnej kuchni zwiększał jeszcze apetyt na tradycyjne smakołyki. Kto nie mógł tam być osobiście, miał okazję śledzić wydarzenia online, a także oglądać w internecie filmy z imprez. Jeśli to nie wystarczyło – nic straconego – kalendarz na 2013 rok zapowiada się równie bogato i smakowicie.

W tegorocznym kalendarzu imprez regionalnych promujących żywność naturalną, tradycyjną, lokalną i regionalną województwa warmińsko-mazurskiego znalazło się dwanaście wydarzeń.

6 lipca – Węgorzewo

Regionalny Festiwal Kultury Łowieckiej

7 lipca – Nidzica

Regionalny Festiwal Potraw z Mięsa Drobiowego

20 lipca – Mrągowo

Regionalny Festiwal Potraw z Mięsa Wieprzowego, Wołowego, Jagnięcego, Koziego

28 lipca – Iława

Regionalne Święto Ryby

4 sierpnia – Gołdap

Regionalny Festiwal Pogranicza Kartaczewo

15 sierpnia – Olsztynek

Regionalne Święto Ziół

18 sierpnia – Olecko

Regionalne Święto Mleka

25 sierpnia – Lidzbark Warmiński

Finał regionalny konkursów „Smak Warmii, Mazur i Powiśla”

31 sierpnia – 1 września – Olsztyn

Festiwal Dziedzictwo Kulinarne Warmii Mazur i Powiśla

7 września – Pisz

Regionalny Festiwal Runa Leśnego

14 września – Ostróda

Regionalny Festiwal Potraw z Ziemniaków

12 października – Elk

Regionalne Święto Miodu





„Warmia i Mazury regionem zjednoczonej Europy”

Projekt dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury na lata 2007-2013 oraz z budżetu samorządu województwa warmińsko-mazurskiego

Dziedzictwo Kulinarne Warmia Mazury Powiśle

Dziedzictwo Kulinarne Warmia Mazury Powiśle to sieć zrzeszająca producentów, przetwórców żywności i restauratorów, których wspólnym celem jest rozwój regionu poprzez promocję produkcji i sprzedaży lokalnej oraz regionalnej żywności. Najważniejszym wydarzeniem promującym tę ideę wśród mieszkańców regionu oraz turystów jest corocznie odbywający się w Olsztynie Festiwal Dziedzictwo Kulinarne Warmii Mazur i Powiśla. W 2012 r. członkostwo w sieci przyznano 30 przedsiębiorcom, w tym 17 z nich odebrało certyfikaty i logo w przeddzień Festiwalu (ramka).

Na bazie sieci utworzono, pierwszą w Polsce, Regionalną Izbę Gospodarczą Żywności Naturalnej i Tradycyjnej w Olsztynie. – Tak jak byliśmy misjonarzami sieci dziedzictwa kulinarnego oraz ruchu Cittaslow w Polsce, tak teraz pierwsi zakładamy Regionalną Izbę Gospodarczą Żywności Naturalnej i Tradycyjnej. Chcemy stworzyć system promocji tradycyjnych wyrobów, aby taka działalność stała się pomysłem na życie dla wielu rolników oraz źródłem ich godnych zarobków – powiedział Jarosław Marek Słoma, wicemarszałek województwa warmińsko-mazurskiego.

Nowo przyjęci członkowie sieci Dziedzictwo Kulinarne Warmia Mazury Powiśle

- Bar „Młyn”, Banie Mazurskie
- Dom Restauracyjny „U Wokulskiego”, Ostróda
- Dwór Kaliszki, Kaliszki k. Białej Piskiej
- Gospodarstwo Agroturystyczne „Domowy Zapieček”, Polejki k. Jonkowa
- Gospodarstwo Pszczelarskie „Miody Mazur”, Gołdap
- Gospodarstwo Rolne Elżbieta i Andrzej Symonowicz, Prasłity k. Dobrego Miasta
- Gospodarstwo Rybackie sp. z o.o., Elk
- Gospodarstwo Rybackie sp. z o.o., Mrągowo
- Gościniec „Ryński Młyn”, Ryn
- Karczma „Skansen”, Olsztyn
- Masarnia Warmińska Szymon Masłowski, Gady k. Dywit
- Mazurskie Centrum Kongresowo-Wypoczynkowe „Zamek Ryn” sp. z o.o., Ryn
- Polska Akademia Nauk Dom Pracy Twórczej, Wierzba k. Rucianego-Nidy
- Restauracja „Malta Cafe”, Olsztyn
- Restauracja Zamkowa, Olsztyn
- Szkoła Podstawowa nr 3 im. Tadeusza Kościuszki, Gołdap
- Zakład Wędliniarski „Flis-Pol” Jarosław Flis, Miłomłyn



www.warmia.mazury.pl

zakładka: jakość i znaki regionalne

www.culinary-heritage.com





Zofia Piłsiewicz

ZAWRACANIE WIOSŁEM WISŁY

Historię tego biegu opowiedział w Gdyni na ubiegłorocznych Kolosach, zdobywając statuetkę w kategorii wyczyn roku, a do tego nagrodę publiczności i dziennikarzy. Porwał wszystkich swoją opowieścią. Odbierając Kolosa, mówił: „Nie ma ludzi z małych wiosek, są tylko ludzie z małymi marzeniami”.

Co może jeszcze zrobić biegacz, który w swoim ostatnim maratonie pokonał ponad 20 tysięcy kilometrów, ale wyruszając na tę eskapadę, obiecał żonie, że będzie to jego bieg ostatni?

KTO NIE BIEGA, TEN PŁYWA

Kiedyś na wiejskim asfalcie spotkał niepełnosprawnego Adama, który trenuje na wózku wyścigowym. Przypomina sobie o nim, kiedy kolega podpowiada mu, że bieganie można zastąpić czymś innym, na przykład pływaniem. Piotr Kuryło tak naprawdę boi się wody. Po wypadku kajakiem na rzece Tag, gdzie o mały włos nie utonął, myślał, że już nigdy nie będzie pływał. To nie jego żywioł. Ale ze swoimi strachami też trzeba się mierzyć. Więc może właśnie kajakiem? Kajakiem po królowej polskich rzek, Wiśle?



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURWY

Skończył z bieganiem. Tak jak obiecał. Ale brakowało mu wysiłku, zmęczenia. Energia zaklęta w mięśniach domagała się ekspresji. Taką ma naturę. Po prostu kocha ruch, tyle że ten ruch musi mieć intencję. Swoją słynny już maraton dookoła świata nazwał „Biegiem dla Pokoju”.

A co teraz?

Tyle że Piotr nie lubi łatwych ścieżek, więc popłynie pod prąd. Dokąd się da. Ile wytrzyma. Tu tak naprawdę nie chodzi o sprawność fizyczną czy doświadczenie wyczynowca, lecz o upór, determinację i siłę psychiczną. O ile rzeka pozwoli.

„My zawsze mamy pod prąd” – mówił Adam. Dla niepełnosprawnych nawet pozornie prosta droga to często „Himalaje” przeszkód. Piotr tak właśnie nazwie swoją nową wielką podróż: „Zawsze pod prąd”. Chce nią zwrócić uwagę na problemy osób niepełnosprawnych. Na

rzeczywistość, w której żyją, gdzie proste, zwyczajne dla zdrowego człowieka sprawy stają się barierami prawie nie do pokonania. I na niezłomność tych ludzi.

Z firmy „Solar Kayak” dostaje żółty, turystyczny kajak. Taki zwyczajny, jakie pływają po Czarnej Hańczy i Rospudzie. Kilka tygodni treningu na augustowskich rzekach i jeziorach. Wskazówek udzielają mu trener kajakarzy Andrzej Siemion i mistrz olimpijski Marek Twardowski. Uczy się techniki wiosłowania u najlepszych. Wie, że u kajakarza ma pracować całe ciało, nie tylko ręce. Ruch zaczyna się



od nóg. Ale tak naprawdę dopiero Wisła pokaze mu wszystkie niedociągnięcia treningowe i udzieli porządnej lekcji rozumienia wody.

7 października 2012 roku woduje kajak pod Kapitanatem Portu w Gdańsku. Podpływa w kierunku latarni morskiej, a potem zwraca kajak i kieruje go pod prąd rzeki.

JAK CZYTAĆ WODĘ?

Początkowo płynie dość szybko. Blisko morza prąd jest niewielki, ale im dalej od ujścia, tym więcej rzeka wymaga siły i uwagi. „Powinienem być mocniej trenować” – mówi. Jeżeli chodzi o taktykę, to szybko uczy się czytać wodę. Dostrzegać, jak ona płynie, sprawnie omijać wiry, które – bywa – zawracają kajak. Niezle musi się wtedy napracować. Wyszukuje słabszy nurt, nie brnie tam, gdzie jest najciężej, bo mięśnie tego nie wytrzymują. Kilka razy wpada też na mieliznę, bo woda zmałona. A z mielizny czasem trudno się wydostać. Pływanie, czujnie wypatrując „niespodzianek”.



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURBY



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURBY

DALEJ NIŻ PÓŁMETEK

Temu, kto płynie pod prąd, sam widok Elektrowni Kozienice w Świerżach Górnych dodaje energii.

Na 859. kilometrze Wisły dogania go „Vistula Cruiser 30” z Żeglugi Wisłanej. Płynie z Żuław w górę rzeki. Pogoda kiepska. Silne porywy wiatru, fale deszczu, a na dużej rzece mały, żółty kajak... „Daleko do Krakowa?” – krzyczy kajakarz. W odpowiedzi słyszy śmiech na stateczku – myślą, że żartuje.

Całe dnie spędza na wodzie, robiąc dziennie około 30 kilometrów. Budzi się o wschodzie. Słońce o tej porze roku jest dość nisko, a on płynie na południe. Często świeci mu prosto w twarz i daszek czapki nie pomaga. Ale to niewielka uciążliwość w porównaniu z wysiłkiem.

„Nie umiem opisać wysiłku” – powie. Bo jak opisać zmęczenie? Kiedy czasem opadają ręce, czujesz tylko ból i myślisz: „Nigdy więcej!”. Marzysz, żeby ten kajak ktoś ukradł, żeby nie musieć dalej płynąć. Każda chwila wydaje się wiecznością, kiedy ból barku głuszy myśli. Właściwie boli wszystko. Ręce od wody robią się zbiele i pomarszczone. Poza prądem rzeki walczysz jeszcze z wiatrem wiejącym prosto w twarz, z falami, zacinającym deszczem i zimnem. Wisłą pod prąd – to ekstremalny wysiłek.

W najcięższych chwilach myśli o hasle swojego rejsu: „Zawsze pod prąd!”. On przecież kiedyś ten spływ skończy, a ludzie niepełnospraw-

ni mają całe życie pod górkę. Ich niezłomność go pokrzepia. Jest sprawny i zdrow jak ryba. Nie ma co – jeszcze kilka dni powalczy! W końcu do źródeł zawsze płynie się pod prąd.

DALEJ I WYŻEJ POD PRĄD

Forma przychodzi po dwóch tygodniach. I przywiązuje go do kajaka. Już nie myśli, że chciałby się go pozbyć. Kiedy 30 października kajak zjeżdża po ośnieżonym brzegu i odpływa sam, bez kajakarza, Piotr robi wszystko, żeby go odzyskać. Już nie chce go stracić. Walczy o niego i odzyskuje.

Robi się coraz zimniej. W nocy przymrozki. Namiot, cienka karimata, śpiwór i wilgoć. Mało śpi, bo zimno nie pozwala. Gdzieś za Dęblinem, przed południem, na przybrzeżnym krzaku dostrzega rozciągniętą kolorową kurtkę. Podpływa. Dookoła nie ma śladu żadnych ludzi. Kurtka jest ciepła i wisi już dość długo. Jest dobrej jakości. Zabiera ją z wdzięcznością dla tego, który ją kiedyś tu zostawił. „Może to Marek Kamiński ją porzucił, bo było mu za gorąco, kiedy kilka lat temu zimą płynął w odwrotną stronę?” – żartuje, opowiadając o tej historii. Ale w nocy już mu ciepło – znaleziona kurtka zdaje egzamin.



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURYLE

4 listopada dopływa do Krakowa. Witają go ludzie i media. Jest chyba we wszystkich kanałach telewizyjnych. Ale to nie triumfalne zakończenie. Następnego dnia trzeba ruszać dalej.

Kilometraż największej polskiej rzeki zaczyna się od ujścia Przemszy do Wisły i w tym miejscu liczy się jako zerowy. Od tego właśnie miejsca Wisła traktowana jest jako żeglowna droga wodna aż do Morza Bałtyckiego. Właściwie na tym mógłby spływ zakończyć. Przepłynął już całe 941 kilometrów tejże drogi. Ale źródła rzeki są dalej. Piotr znowu wsiada do kajaka.

Powyżej Jeziora Goczałkowickiego Wisła jest górską rzeką o dużym spadku i licznych progach kamiennych i betonowych. Kajak spisuje się znakomicie. Jest lekki i mocny. Wprawdzie dno porysowane, ale jest całe. „Jak by to było bez blizn?” – mówi Piotr. A tu coraz więcej progów i brnięcia po kamieniach niż pływania. Cieszy się, że zabrał ze sobą gumia-ki. Teraz bardzo się przydają. Tak dociera do Wisły – miasta u podnóża Beskidu Śląskiego, wtulonego w rzeczną dolinę. Tutaj liczne źródła na zboczach Baraniej Góry łączą się w potoki Czarnej i Białej Wisielki, do których dołącza potok Malinka.

Po 41 dniach wysiłku, 17 listopada 2012 roku, Kuryło kończy swoją wyprawę w Jeziorku Czerniańskim, gdzie spotykają się obie Wisielki. W 1973 roku, w miejscu ich połączenia, wybudowano zapórę ziemną oraz

ILE WISŁY W WIŚLE
Górski odcinek rzeki przepływającej przez miasto Wisła.



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURYLE

sztuczny zbiornik wodny dla celów retencyjnych i jako ujęcie wody pitnej, nazwany właśnie jeziorkiem Czerniańskim. Tu następuje koniec spływu.

PIOTR WIELKI
17 listopada 2012,
po 41 dniach
zmagañ
z żywiołami,
Piotr Kuryło
dotarł do celu.



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURYLEY

WSZYSCY LUDZIE DOBREJ WOLI

Wieść o człowieku, który płynie jesienią Wisłą pod prąd, szybko rozchodziła się wzdłuż



FOT. ARCHIWUM PIOTRA KURYLEY

ZADANIE WYKONANE!

Piotr Kuryło z Adamem, który zainspirował go do wyprawy mającej zwrócić uwagę na problemy osób niepełnosprawnych.

trasy. Wystarczyło kilka wzmianek w telewizji i lokalnych gazetach. Pojawili się rodacy, którzy dawali mu wsparcie – słowami otuchy, jedzeniem, zaproszeniem do domu. Piotr mówi, że ludzie na jego drodze odgrywali bardzo

ważną rolę. Że spotkania z nimi to najpiękniejsza rzecz w tej wyprawie. Jest im wszystkim bardzo wdzięczny.

Przynajmniej raz w tygodniu był zabierany na nocleg do ciepłego domu. To bardzo ważne, kiedy ma się wilgotne rzeczy. Można je wysuszyć, ogrzać się, umyć w ciepłej wodzie. Niektórzy wracali do niego na trasę, spotykali go na kolejnych obozowiskach, a czasem – jak Adam z Bydgoszczy – rozbijali obok namiot, by towarzyszyć mu podczas noclegu. Niekiedy przejeżdżali wiele kilometrów, żeby go spotkać, zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, potowarzyszyć, porozmawiać przez chwilę. Rozpoznawali go też wędkarze. Zapraszali do ogniska, ostrzegając przed zwężeniem czy bystrzem rzeki.

Bez tego zainteresowania i zyczliwości czułby się samotny. I byłoby mu znacznie trudniej. Z wysiłkiem i przyrodą mierzył się sam, ale doświadczał przy tym szczerego, ludzkiego wsparcia. I to było dla Piotra najważniejsze.

Co jeszcze chciałby osiągnąć? Marzy mu się wyprawa rowerem z Lizbony do Władystoku. Z maratonu dookoła świata najmilej wspomina Rosję i ludzi mieszkających na Syberii. Od nich doświadczył najwięcej bezinteresownej pomocy. Chciałby tam wrócić. ◉

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE



Kolejny ciekawy region świata otrzymał bezpośrednie połączenie z Polską. Qatar Airways wprowadził rejsy na linii Warszawa – Doha, oferując przeloty we wszystkie dni tygodnia.

– Jestem mile zaskoczony, jak dużą popularnością cieszy się oferowana przez Qatar Airways trasa od momentu uruchomienia Warszawy – nowego miasta docelowego w Europie w ramach rozwijającej się globalnej sieci – powiedział prezes Qatar Airways Akbar Al Baker.

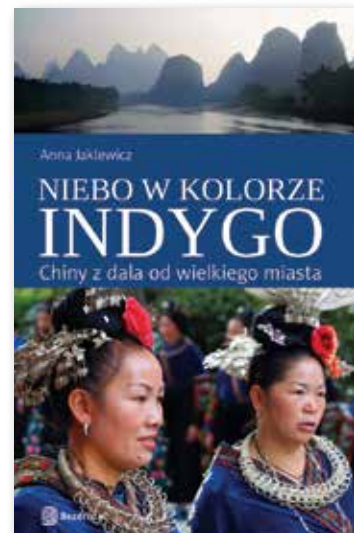
Codziennie połączenie z Zatoką Perską to przede wszystkim więcej możliwości podróży w ramach rosnącej, międzynarodowej sieci, w szczególności do miast Azji, Australii oraz Bliskiego Wschodu. Qatar Airways oferuje najszybsze połączenia między Warszawą, z przesiadką w Doha, a popularnymi azjatyckimi miastami: Hanoi, Delhi, Bombaj, Goa, Male, Rijad, Bangkok i Kolombo.

Qatar Airways to najszybciej rozwijający się przewoźnik lotniczy na świecie. Flota złożona ze 116 samolotów lata do 123 kluczowych dla biznesu i turystyki miast na świecie. Od grudnia ub.r. Warszawa jest 32. miastem w Europie na globalnej mapie połączeń Qatar Airways.

NIEBO W KOLORZE INDYGO

Chiny z dala od wielkiego miasta – spokojne wioski wśród ryżowych pól, gdzie kultywuje się ludowe tradycje, a stroje grup etnicznych i czyste, nocne niebo mają ten sam intensywny odcień koloru indygo. Anna Jaklewicz spędziła tam dwa lata, podglądając świat „małych ojczyzn” i odkrywając zaskakujące bogactwo kulturowe oraz etniczne.

W książce pokazuje Chiny z innej strony niż ta powszechnie znana. Pisze o małych wioskach na południu i różnicowaniu nacji zamieszkujących ten kraj. Publikacja ukaże się w marcu nakładem Wydawnictwa Bezdroża.



WYSTAWA FOTOGRAFII „Gdzieś na końcu świata – Spitsbergen”

Dr inż. Krystyna Maria Noga jest pracownikiem naukowym i wykładowcą Akademii Morskiej w Gdyni, autorką kilku książek naukowych oraz opiekunem studentów na wyprawach statkiem naukowym AMG – Horyzont II na Spitsbergen, gdzie była kilka razy. Plonem jej wypraw jest kilkanaście tysięcy fotografii. Na pierwszej swojej wystawie pragnie pokazać 52 fotogramy w formacie A3 i trzy w formacie A0 przedstawiające ciekawe ujęcia Spitsbergenu. Wernisaż odbędzie się 22 lutego o godz. 17.00 w Kawiarni Costa w Galerii Przymorze w Gdańsku, fotografie prezentowane będą na instalacjach w holu głównym. Wystawione zostaną również ciekawe pamiątki ze statku Horyzont II. Wystawa potrwa do 8 marca 2013 r.



FOT. Z ARCHIWUM KRYSZYNY MARII NOGA



UCZ SIĘ O ŚWIECIE NA POZNAJ ŚWIECIE

Jeśli interesują Cię ciekawe podróże, opisy żywiołów i zjawisk, chcesz odkrywać nieznanne miejsca, poznawać kulturę innych narodów – weź udział w konkursie geograficznym „Odkryj świat z Poznaj Światem”. Takie zaproszenie już po raz dziesiąty skierowali organizatorzy konkursu z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 5 w Krośnie do młodzieży innych szkół z okolicznych powiatów województwa podkarpackiego.

Tematyka konkursu jest ściśle określona i zawsze związana z miesięcznikiem Poznaj Świat. W tegorocznej edycji obowiązuje znajomość artykułów o państwach europejskich, opisywanych przez nas w numerach z 2012 roku, oraz ogólna wiedza geograficzna o Europie. Uczestnicy konkursu rozwiązują test, lokalizują na mapie konturowej opisywane miejsca, podają informacje o wybranych obiektach przyrodniczych i kulturowych, zaś w finale rozpoznają fotografie publikowane w artykułach i omawiają je.

Poznaj Świat od wielu lat wspiera popularyzację geografii w szkołach gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych, przygotowując publikacje uzupełniające wiedzę podręcznikową, patronując szkolnym olimpiadom i konkursom oraz oferując szkołom tańszą prenumeratę. (A. Delimat)

JA I INNE MAŁPY

Na zbiór opowiadań „Ja i inne małpy” złożyło się szereg tekstów o bardzo różnym charakterze. Większość opowiadań oparta jest na faktach. Wyjątkiem są nowelki sensacyjne, będące fikcją literacką, ale i tu inspiracją były doświadczenia zdobyte w czasie zagranicznych podróży, jak niebezpieczny wentylator w hotelowym pokoju na Minorce, gwizdzący ptak w plażowej restauracji na wyspie Phuket czy luksus rejsów wycieczkowymi statkami po Wyspach Karaibskich w połączeniu z notatką prasową o liście pasażerów zaginionych w niewytłumaczalny sposób podczas morskich podróży. Autorka wypowiada się swobodnie w różnorodnych formach, czuje się dobrze zarówno w nowelkach sensacyjnych, esejach humorystyczno-satyrycznych, opowiadaniach o zwierzętach, jak i reportażach z podróży.

Ten zbiorek opowiadań dostarczy czytelnikom pogodnej, odprężającej lektury, wzbogaconej od czasu do czasu lekkim dreszczykiem emocji. Książka ukazała się nakładem Warszawskiej Firmy Wydawniczej.



KONKURS FOTOGRAFICZNY „ŚWIAT JEST PIĘKNY – POZNAJ ŚWIAT”

Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK



Miesięcznik Poznaj Świat oraz portal PlaceKnow.com zapraszają do wzięcia udziału w konkursie fotograficznym „Świat jest piękny – Poznaj Świat”. Zachęcamy do nadsyłania pięknych, niebanalnych zdjęć z podróży. Zdjęcia przesłane na konkurs muszą spełniać dwa wymogi: odpowiadać hasłu „świat jest piękny” i spełniać warunek „wiem, co widzę”. Konkurs będzie polegał na dodawaniu zdjęć na platformę PlaceKnow.com. Każdy uczestnik będzie mógł dodać dowolną liczbę zdjęć o tematyce podróżniczej, które będą mieściły się w kategoriach: atrakcje, widoki, życie nocne, obywatele, jedzenie, pojazdy, zwierzęta, miasto. Zdjęcia będą poddawane głosowaniu internautów. 10 zdjęć, które zdobędzie najwięcej głosów (poprzez system „Lubię to!” na portalu pod każdym zdjęciem), zostanie ocenionych przez jury powołane przez organizatorów. Wybierze ono 3 najlepsze zdjęcia i przyzna 3 wyróżnienia. Do wygrania atrakcyjne nagrody: tablet, prenumeraty Poznaj Świat, albumy oraz publikacja zdjęcia w miesięczniku.

1. MIEJSCE

- tablet Samsung Galaxy Tab2 7.0
- roczna prenumerata Poznaj Świat
- publikacja zdjęcia w magazynie



2. MIEJSCE

- okulary SH
- kije Fizan
- półroczna prenumerata Poznaj Świat
- publikacja w magazynie



3. MIEJSCE

- półroczna prenumerata Poznaj Świat
- publikacja w magazynie



TRZY WYRÓŻNIENIA

- koszulki PlaceKnow.com
- albumy „Etiopia na 21 dni lub na całe życie”



SZCZEGÓŁY ORAZ REGULAMIN KONKURSU DOSTĘPNE NA: PlaceKnow.com/konkurs-poznajswiat
TERMIN NADSYŁANIA ZDJĘĆ OD 22 LUTEGO 2013 R. DO 30 KWIETNIA 2013 R.
OGŁOSZENIE WYNIKÓW 10 MAJA BR.

PATRONI MEDIALNI:

SKAUTING.PL
portal ludzi aktywnych

RADIOTRAVEL

REKLAMA

Odkryj nowy sposób podróżowania!



architekci PODRÓŻY

Z biurem podróży czy samemu?
Teraz masz alternatywę!

Jedziesz w swoim stylu - tam, gdzie chcesz,
płacąc tyle, ile chcesz

Nie musisz się martwić planowaniem,
szukaniem noclegów, przelotów i transportu,
a czas na wakacjach spędzasz tak, jak chcesz!

Więcej na www.architekcipodrozy.pl





FOT. MALGORZATA JARMUŃCOWICZ

WYSPA TYSIĄCA BĘBNÓW

MAŁGORZATA JARMUŁOWICZ, ZYGMUNT LEŚNIAK

Ten instrument to synonim prestiżu i dostatku.
Magiczny przedmiot dumy i pożądania,
o który toczono kiedyś walki, a i dziś, podobno,
otwiera lub zamyka drogę do szczęścia.



MIĘDZY JAWĄ A SNEM

Góry, wąwozy, krystalicznie czyste wody to krajobraz Alor, archipelagu położonego między Jawą a Nową Gwineą.



Na podstawie reakcji Indonezyjczyków pytających o cel naszej podróży można by uwierzyć, że wyspa taka w ogóle nie istnieje. Alor, leżąca na krańcu archipelagu Małych Wysp Sundajskich, jest dla nich abstrakcyjnym końcem świata. Na szczęście o jej realności upewnia nas bilet poważnej linii żegludowej. Na tej podstawie w ciągu czterech dni dopływamy z Semarangu na Jawie do stolicy Alor – Kalabahi. Nagrodą, jaka spotyka docierających tu wędrowców, jest bogactwo natury i niezwykłych kulturowych zjawisk, skupionych na niewielkim kawałku lądu. Każdy, kto szuka w podróży takich bogactw, uzna Alor za prawdziwą wyspę skarbów.

W Kalabahi unikalny charakter wyspy nie rzuca się w oczy. To 60-tysięczne, trochę bezstylowe miasto jest jedynym na całej wyspie przyczółkiem nowoczesnej cywilizacji. Holenderscy kolonizatorzy, zakładając w 1911 roku stolicę regionu na płaskim wybrzeżu półwyspu Kecil, nie znaleźli alternatywnej lokalizacji. Stronne góry i wąwozy pokrywające niemal cały ten obszar sprawiają, że sieć względnie przejezdnych dróg kończy się właśnie w tych okolicach. Jedynym sposobem dotarcia do wielu osad pozostaje piesza wędrówka lub rejs łodzią wzdłuż wybrzeża.

W warunkach tak utrudnionej komunikacji odizolowane od siebie społeczności Alorczyków wytworzyły zdumiewającą rozmaitość grup etnicznych, mówiących około pięćdziesięcioma różnymi językami. Oficjalny język państwowy i napływowe religie w postaci chrześcijaństwa oraz islamu sprzyjały niwelowaniu pierwotnych różnic kulturowych, lecz Alor pozostał fascynującym tygłem wielu tradycji.



MOKO DOBRE NA WSZYSTKO

Jest jednak coś, co od wieków stanowi unikalne spoiwo wielokulturowej mozaiki, a przy okazji powód, dla którego na wyspę tę zaglądną miłośnicy etnicznych osobliwości. W języku wyspiarzy powód ten nazywa się *moko* i jest – przynajmniej na pierwszy rzut oka lub raczej ucha – dość przeciętnie brzmiącym instrumentem muzycznym w formie bębna, wykonanym w całości z brązu. Mieszkańcy wyspy przypisują mu jednak zupełnie wyjątkowe znaczenie.

Pierwsze bębny, jakie możemy obejrzyć, stoją w gablotach Museum of a Thousand Moko w Kalabahi – tak zakurzonych, że zakłopotany personel, doceniając nasze zainteresowanie, wyjmuje w końcu cenne eksponaty na zewnątrz. Nazwa muzeum ma raczej charakter życzeniowy, bo instrumentów jest zaledwie kilkanaście, ale zawiera się w niej ukryty sens. W poczet muzealnych eksponatów można by przecież – przynajmniej teoretycznie – wliczyć wszystkie bez wyjątku *moko*, jakie znajdują się na archipelagu Alor.

Jako że są to przedmioty nierzadko o kilkusetletniej przeszłości, wszystkie są niewątpliwymi zabytkami. Nie na tym jednak polega ich fenomen. Co więcej, historia żadnego z nich nie zaczyna się na Alor, bo nie tylko nie umiano ich tutaj nigdy wytwarzać, lecz nawet naprawiać. Skąd zatem pochodzą?

Według naukowych hipotez, przywędrowały one szlakami handlowymi z Chin i Wietnamu, gdzie już za czasów kultury Dongson, czyli dwa tysiące lat temu, wytwarzano bębny z brązu o podobnym klepsydrowatym kształcie. Potem umiejętności te przejęli Jawajczycy, co tłumaczyłoby obecność na młodszych bębnach ornamentów z motywami holenderskimi.

Gdy ruszamy w głąb wyspy, by obejrzyć *moko* w pejzażu plemiennych wsi, zagęszczają się wokół nich atmosfera mistycznej tajemnicy. Rdzenni wyspiarze wierzą, że bębny są darem bogów i pochodzą wprost z ziemi. Pożywką dla tej wiary jest m.in. tradycja zakopywania *moko* pod ziemią w okresach zagrożenia. Tak czyniono chociażby podczas inwazji Japończyków w czasie II wojny światowej.

TRUDY I ZNOJE HANDLU

**Wyładunek towarów
przeznaczonych
na cotygodniowy
targ w Alor.**



FOT. WALGORZATA JARWUŁOWICZ

LEGO DANCE

Taniec *lego lego* wykonywany przez mieszkańców Latefui nawiązuje do tradycji przodków.

Trudno zrozumieć opowieści o niezwyklej duchowej mocy, jaką wykazują bębny w rękach czarowników – łatwiej pojąć mechanizm ekonomiczny, który limitowanej i wciąż malejącej liczbie *moko* nadał status świetnie oprocentowanej lokaty kapitału. Bębny można dziedziczyć, ale również pozyskiwać w ramach wymiany za dobra tak konkretne, jak ziemia. *Moko* stanowi na przykład obowiązkowe wyposażenie posagu dobrze urodzonej panny młodej, a także niezbędny prezent ślubny od narzeczonego. Wynajęty przez nas miejscowy przewodnik Adi – wykształcony i nowoczesny muzułmanin – z myślą o ożenku syna, nawet podczas naszej wspólnej podróży nie ustaje w dyskretnych, acz nieustannych poszukiwaniach „niedrogiego” *moko*.

Będąc potężną konkurencją dla konwencjonalnych środków płatniczych, *moko* przysparzały kłopotów już holenderskim zarządcom wyspy, bezskutecznie próbującym wycofać je z finansowego i kulturowego obie-

gu. Obecne prawo indonezyjskie usiłuje zapobiegać odwrotnemu procederowi – zakazuje mianowicie wywozu tych unikalnych przedmiotów z wyspy.

ŁOWCY GŁÓW TAŃCZĄ LEGO

Wędrowka po Alor w poszukiwaniu *moko* to podróż w czasie. Z Kalabahi, gdzie działa internet oraz istnieje kilka klimatyzowanych hoteli, w ciągu godzinnej jazdy terenowym samochodem można dotrzeć do wsi, w których czas stanął w miejscu. Asysta przewodnika przydaje się, aby zgodnie z obyczajem odbyć kurtuazyjną rozmowę z miejscowym wodzem i uzyskać od niego prawo wstępu do wsi. W Bampaloli zamieszkałej przez plemię Raja taka zgoda jest niezbędna, by zejść stromą ścieżką w dół do najstarszej części wsi, opustoszałej i odizolowanej od świata na krańcu górskiej grani. Tradycyjne chaty z bambusa, wzniesione na palach i zwieńczone strzechą

w kształcie piramidy, kryją w swych zadymionych wnętrzach kilka bębnów *moko*, ale czuwa tu nad nimi już tylko jedna rodzina.

Życie tętni za to w odwiedzanej przez nas godzinę później wsi Monbang. Członkowie plemienia Cabola właśnie świętują przy sfermentowanym soku palmowym finał zbiorowej pracy nad szkieletem dachu nowej chaty. Pradziadowie mogą być z nich dumni: zgodnie z odwiecznym zwyczajem w dach nie wbito ani jednego gwoździa, lecz połączono go w całość setką misternych węzłów z palmowego łyka.

Alor serwuje przybyszom nie tylko poczucie podróży w czasie, ale również teleportacji na zgoła inną wyspę. We wsi Latefui, położonej kilkanaście kilometrów na wschód od Kalabahi, ulegamy wrażeniu, że dotarliśmy aż na Papuę! Tutejsze plemię Abui, w przeciwieństwie do pozostałych Alorczyków, przypomina rdzennych Papuasów – o ciemnej skórze, szerokich nosach i silnie skręconych włosach. Mieszkańcy uprzedzeni o naszej wizycie przygotowują uroczyste powitanie, które jest równocześnie taneczną prezentacją ich waleczności i klanowych obyczajów. Mężczyźni mają na sobie kompletny rynsztunek wojownika, na który składa się skórzana tarcza, łuk i strzały, a także charakterystyczny miecz z trapezowatą drewnianą rękojeścią, zwany *runji*.

Wódz nie kryje dumy, demonstrując nam sześć nacięć na ostrzu miecza, oznaczających liczbę zabitych wrogów. Jeszcze w latach 1950. wojownicy Abui wyprawiali się jako łowcy głów na wojny z sąsiadami – dziś co niedziela wyprawiają się na mszę do pobliskiego kościoła, lecz jednocześnie podtrzymują stare animistyczne tradycje. Należy do nich taniec *lego lego*, wykonywany przez krąg splecionych ramionami współplemieńców, przy dźwiękach gongów i brzęku bransolet na stopach tancerki. Oczywiście, są tu również bębny *moko*, lecz nie pełnią banalnej roli instrumentów muzycznych. Stoją dumnie i niemo w środku tanecznego kręgu, wywołując raczej skojarzenia z obiektami adoracji.

WCZASY UNPLUGGED

Okazji do oglądania *moko* nie brakuje również na wyspach Pura, Ternate i Pantar, które są



NIE DO GRANIA, A DO PODZIWIANIA

Dla Alorczyków bębny *moko* są czymś więcej niż tylko instrumentem...



...To symbol ich kultury, przedmiot kultu, a nawet lokata kapitału.



O SZEŚCIU MNIEJ

Wódz plemienia Abui z dumą prezentuje swoje *runji*. Na jego ostrzu znajduje się sześć nacięć, które oznaczają liczbę zabitych wrogów.



FOT. ZACHARUSZ LESNIAK

BIAŁA ATRAKCJA

Kontakt z białymi to nowe doświadczenie dla dzieci z wioski „papy” Dalana.

siadują z Alor, współtworząc archipelag o tej samej nazwie. Jego krystaliczne wody to jeden z najpiękniejszych rejonów nurkowych na świecie. Większość trafiających na Alor turystów (około tysiąca osób rocznie) zainteresowana jest prawie wyłącznie tutejszymi rafami. Zatrzymują się oni w pionierskim ośrodku nurkowym, na wysepce Kepa u wybrzeży Alor Kecil, prowadzonym przez francuską rodzinę. Wakacyjną przygodę można tu kupić w pakiecie, obejmującym zakwaterowanie, wyżywienie i rejsy nurkowe.

My wybieramy inny, zdecydowanie tańszy i ciekawszy „pakiet”, oferowany przez zaprzyjaźnioną z Adim rodzinę rybaków. Po dwóch dniach rejsu wokół wysp przybijamy do urokliwej plaży na zachodnim wybrzeżu Alor, by na kolejne cztery dni osiąść w przytulonej do niej muzułmańskiej osadzie. Gościna w domu „papy” Dalana oznacza rozbrat z luksusami:

nie ma tu prądu, toalety, wodę do mycia trzeba nosić ze studni, a jedyne źródło zaopatrzenia to czwartkowy targ w sąsiedniej wsi.

Co dostajemy w zamian? Noce pod niebem tak czystym, że światło księżyca razi jak reflektor. Półmetrowego gadającego gekona toke, rezydującego na belce nad naszym łóżkiem. I szybki kurs lokalnego języka, bo nikt we wsi nie mówi po angielsku, a porozmawiać z białymi chce każdy. Nade wszystko zyskujemy jednak przywilej przyglądania się niespiesznej rutynie życia poza naszą cywilizacją, w którym ludzie potrafią być szczęśliwi i samowystarczalni. Uczą się go zresztą od dziecka. Już kilkuletnie brzdące potrafią zbierać małże i wodorosty poprzyczepiane do ostrych jak brzytwa skał, zakładać na kilkumetrowej głębiny bambusowe pułapki na ryby i polować pod wodą z samodzielnie wykonaną kuszą.



FOT. ZYGAMIT LESNAK

BUBU NA RYBY

Obsługa podwodnych pułapek na ryby, zwanych *bubu*, jest dziecięcą specjalnością.

Bogactwa morza uwalniają od głodu, ale wody archipelagu to żywiol nadzwyczaj niebezpieczny. Prądy między wyspami są zdradzieckie i mają siłę zagrażającą nawet sporym łodziom motorowym. My dostajemy od morza stresującą lekcję pokory w zatoczce przy wioskowej plaży, gdy zaabsorbowani snorkelingiem przegapiamy moment narastania wieczornego odpływu, zasysającego nas na otwarte wody.

Gdy nazajutrz oglądamy morze z pokładu łodzi wracającej z nami do Kalabahi, wynagradza nam ono niedawny stres widokiem wielkiego kaszalota oraz stad delfinów, które serfują na falach spiętrzanych przez „znajomy” odpływ. I ten właśnie widok włączamy do prywatnej kolekcji skarbów darowanych nam przez Alor – skarbów nie mniej wartych niż starożytny bębny *moko*. ○



FOT. MAŁGORZATA JARWIŁOWICZ



To w zasadzie jak się mówi: Iran czy Irak? – stary dowcip ten przypisywano już Siwakowi, Wałęsie, Komorowskiemu, a ostatnio blondynkom.



I tu zadumać się by można, do wniosku dojść, że o nowe anegdoty widocznie naprawdę trudno, skoro słynny ostatnio dowcip o Tusku w szkole i znikającym Jasiu kursował jeszcze za Bieruta i o tymże Bierucie, ale wróćmy do naszych baranów. Bo Iran i Irak już weszły do kanonu, ale kiedyś trzeba je było sobie uprzednio sprawdzić na mapie.

Cokolwiek cyniczna anegdota przypisywana kilku politykom głosi, iż jest pożytek z prowincjonalnych wojen – dzięki nim uczymy się geografii. Dziś można by gorzko dodać, że to wizja nazbyt optymistyczna, bo czy rzeczywiście my, odbiorcy medialnej papki, tak ochoczo sprawdzamy gdzie ów

Timor Wschodni, Brunei ze swoim najbogatszym sułtanem czy Rwanda lub Burundi? Paradoksalnie, bo przecież wygugłanie tego nie zajęłoby więcej niż 30 sekund, świat staje się coraz bardziej nam obcy, nieinteresujący, nieistotny jakiś. W końcu kogo obchodzą murzyńskie wojny?

Zresztą, czy tylko murzyńskie? Mój przyjaciel pojechał w czasie ostatnich wakacji na kilka dni do wsi starowierców na Mazurach. W pensjonacie spotkał grupę trzydziesto-, czterdziestoletnich prawników, którzy przy kolacji i piwie postanowili rozwikłać zagadkę przeszłości tych ziem. Nietknięci wiedzą zaczęli kombinować.

Tu byli kiedyś Niemcy. Nie, Ruscy, w końcu jest cerkiew. Hm, no fakt, cerkiew, ale przecież mówią, że Prusy? No tak, bo Prusy, to znaczy pre Rusy, taka dawna Rosja. Tak, to by się zgadzało, a co z Niemcami? No, przyszli, jak była wojna, a potem znów ich Ruscy pogonili. Dumny z siebie kwiat inteligencji pojął więc istotę skomplikowanych losów Prus szybciej, niż Maciek skoczyłby po kolejny, kurna, sześciopak do geesu.

I tu paść powinny rytualne wyrzuty: skąd panie wiedzieć mają, skoro ich w szkole nie uczą, ta młodzież dzisiejsza durna taka, ojciec mój smarkaczem będąc, grał z bratem w państwa-miasta, ale miasta, rzeki i góry mogły być tylko chińskie. Ot, dla utrudnienia. Ta ostat-

nia historyjka, choć prawdziwa i mówi o moim prywatnym ojcu, niczego jednak nie wyjaśnia. Młodzież dzisiejsza ani głupsza, ani inteligentniejsza nie jest. Nie pasjonują jej podróże palcem po mapie i wkuwanie, choćby mimochodem, cudzoziemskich rzek i stolic, bo mają pod ręką tanie linie lotnicze czy autostop. Podróż przestała być dobrem nieosiągalnym. A interesują się zapewne czym innym, tylko proszę nie dopytywać czym, bo nie mam pojęcia, ale nie chcę zaburzać tak błyskotliwego wywodu.

Otóż to my, brontozaury dziennikarstwa, takimi duperelami się interesowaliśmy. I co z tego dziś mamy? Jak się nazywa stolica Kazachstanu czy Tanzanii? Nie, wcale nie Ałma Ata i Dar es Salaam, jak za naszych czasów. Po pierwsze nie ma już Ałma Aty, a jest Ałmaty, po drugie to nie ona jest stolicą, bo ją przeniesiono do Akmoły, i po trzecie wreszcie nie ma żadnej Akmoły, tylko jest Astana. Proste? Nie? To nie trzeba sobie było łba zaprzętać zbędnym nazewnictwem, bo i tak pożytku z tego żadnego.

Zresztą Dar es Salaam też nie jest stolicą i to od trzydziestu lat! Dodoma się nazywa aktualna, tylko się jakoś nie wryła. Mojemu kanadyjskiemu koledze wryło się za to Lagos i kiedy rzucony do Moskwy poprosił o bilet do Nigerii, a pani dopytywała: „Aeroport w Abudży chociaż, da?”, to się wściekł, że on żąda Lagos, a tu w moskiewskim biurze Aeroflotu niekompetencja i Trzeci Świat.

Tak, tak, zmieniają się nazwy miast, państw. Nie ma żadnej Górnej Wolty, choćby nie wiem jak zabawnie to brzmiało, zwłaszcza w zestawieniu ze stolicą Łagadugu, którą się pisze idiotycznie Ouagadougou lub troszkę normalniej Wagadugu, ale i tak czyta się jak na początku. W każdym razie państwo to wykonało pewną – chi chi, och, jakie to zabawne – woltę i nazywa się teraz Burkina Faso. Słabo, nie?

Trochę to bez sensu, więc apel mam, żeby może jednak ogłosić jakieś moratorium na zmiany nazw, granic państw, miast i podobnych? ONZ mógłby się tym zająć, albo pochodne. Żadnych

nowych stolic i państw, żadnych wojen i separatyzmów, koniec, Kędzierzyn na zawsze z Koźlem!

Ktoś mógłby przywołać też do porządku Jezioro Aralskie czy Morze Kaspijskie, że jednak są na mapach i nie godzi się tak bezczelnie wysychać. Kieruje mną oczywiście podbudka całkowicie bezinteresowna i szlachetna, a fakt, że właśnie kupiłem gówniarzowi za pięć stów wielgachną mapę świata na ścianę i nie chcę, żeby się szybko zdezaktualizowała (mapa, nie ściana), nie ma tu nic do rzeczy.

Jak widać, na swoim synu, takż i córkach, popełniam stare błędy i nie mam nic przeciwko temu, by jednak znali kilku królów Polski i potrafili znaleźć na mapie Inflanty. Czynię to niepomny pouczeń z lisowego „Newsweeka” czy też portalu, gdzie pewna dama uznała ostatnio, że niepotrzebnie zupełnie wie, co to barok, szczęścia jej to nie dało i synom swoim oszczędzi wiedzy o Kochanowskim i Kościuszcze.

Swoją drogą zbiegło się to w czasie z lamentem innego pana, z zawodu dziennikarza, który z przerażeniem odkrył, iż nie wie, kto jest premierem Izraela, i ma żal wielki do kolegów, że mu nie powiedzieli. Skądinąd pan redaktor jednocześnie przyznaje, iż wie wszystko o Dodzie i rozwodzie nie takiej znów perfekcyjnej pani domu, ale zostawmy to. Cóż, jak widać, jednym wiedza o świecie przeszkadza, inni się jej dopominają. I bądź tu mądry, i dogódź tu wszystkim, człowiecze!

W każdym razie, niech wiedza Wasza, o Drodzy Czytelnicy, bezużyteczną nie pozostanie! Wyzwijcie smarkaterię na pojedynku w państwa–miasta. Że mogą wygrać? Nie mogą. Jakby co, to powtórzycie numer z serialu „Biuro”, gdzie bohaterowie, którzy padli na pytaniu o dramaty Szekspira, uznali, że prawdziwym zwycięzcą quizu jest ten, kto przerzuci buty na sznurowadłach przez cały budynek.

Że nie zmienia się reguł w trakcie gry? Zmienia się. I niech się smarkacze uczą życia. ○

OFERUJEMY DOBRE WARUNKI
ZERO PROWIZJI

czy wiesz, że ?



Liderwalut.pl

KANTOR INTERNETOWY

WYMIENIAMY WALUTĘ
PO NAJLEPSZYM KURSIE

**CIESZ SIĘ Z WAKACJI, ZAKUPOW,
REALIZUJ SWOJE MARZENIA**

UŁATWIAMY ŻYCIE
zawsze dobre ceny
zawsze dostępni 24h
z każdego miejsca na świecie
zawsze gdy liczy się czas ...

L CASHHOME Sp. z o.o.
www.liderwalut.pl
INFOLINIA 58 5000 108

KUPNO SPRZEDAŻ WALUT NA DOBRYCH WARUNKACH

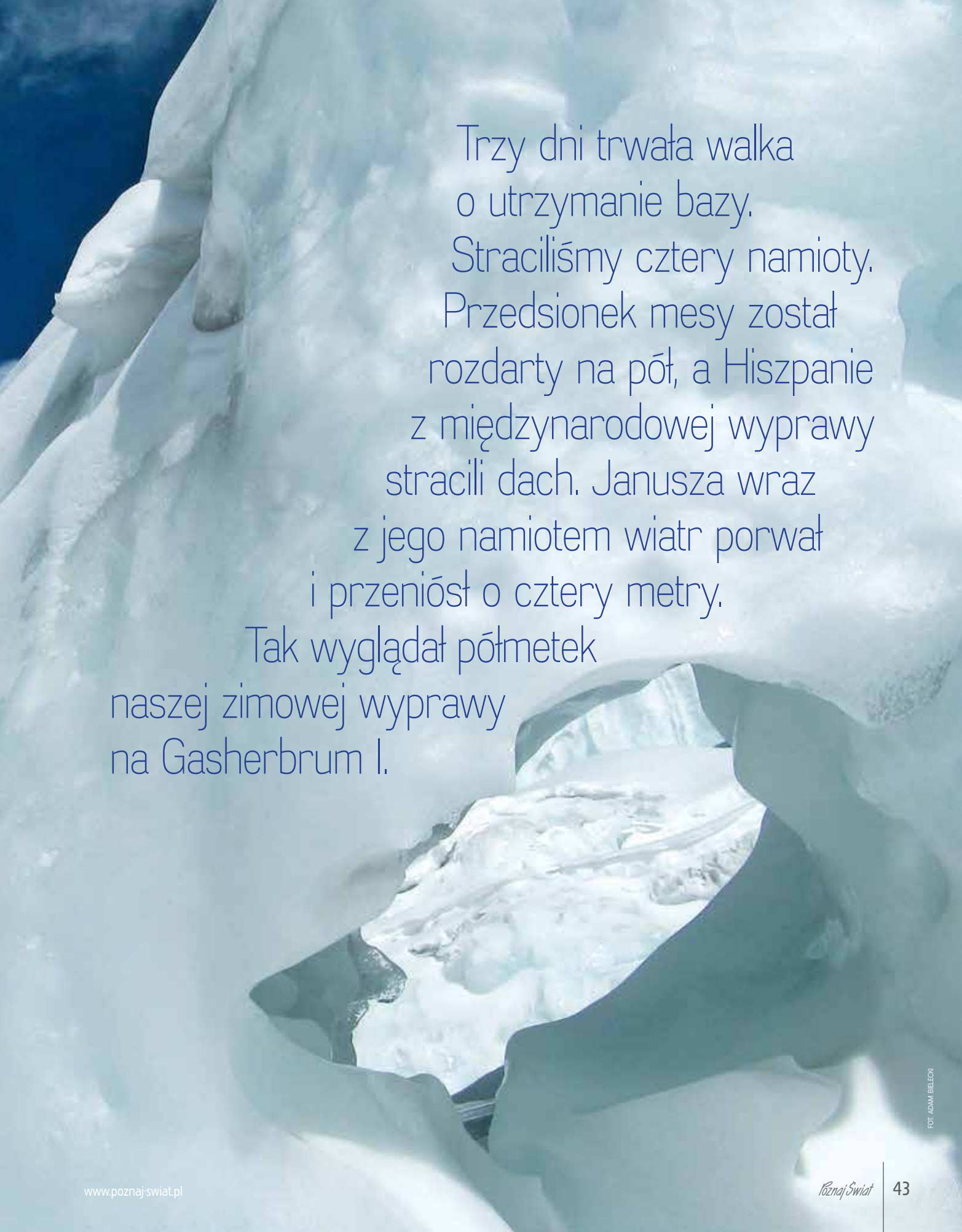
AZJA | Pakistan

ZIMOWY GASHERBRUM

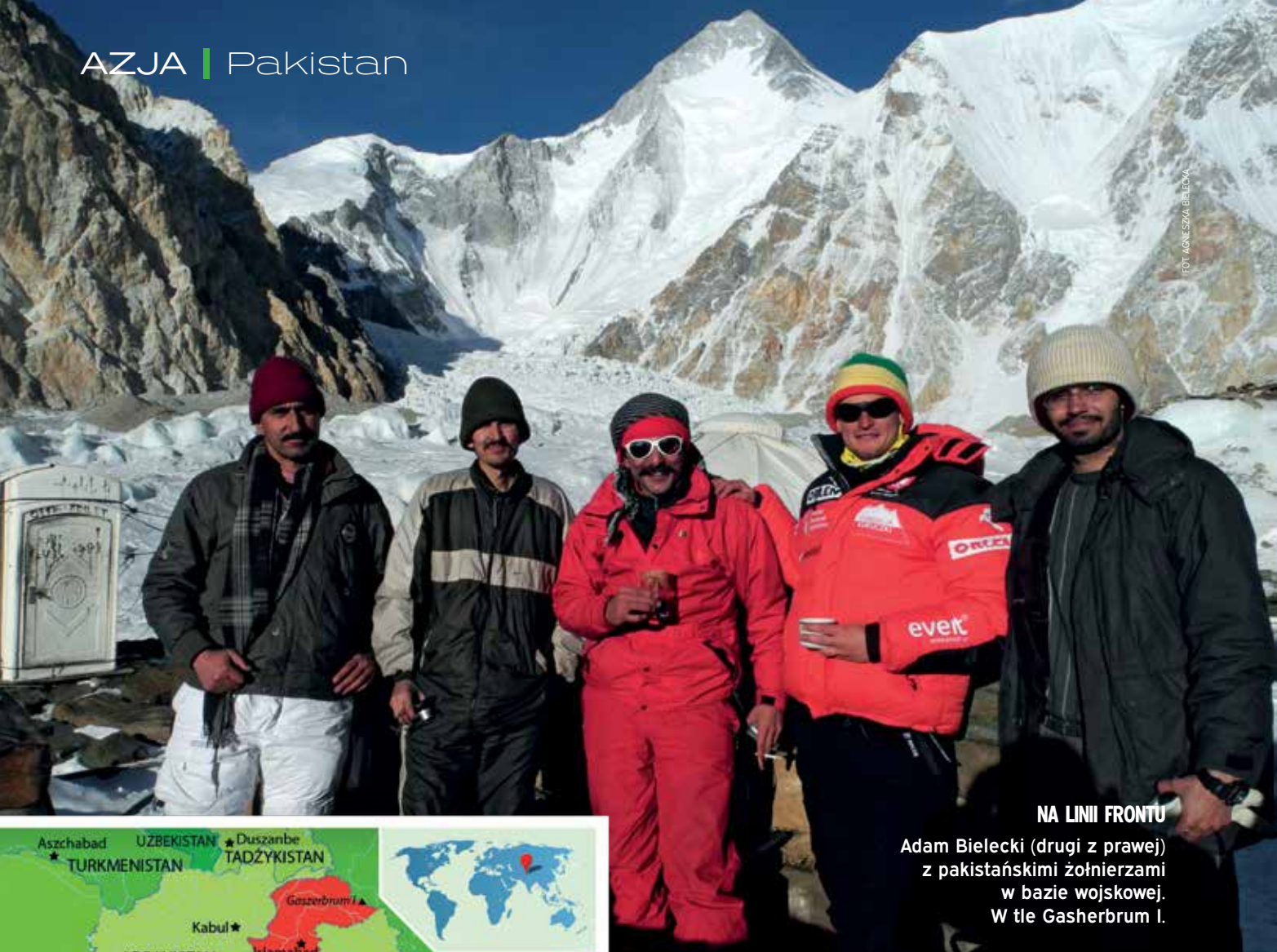
Agnieszka Bielecka

ZDOBYTY!



A photograph of a snowy mountain landscape. In the foreground, there is a dark, irregular opening, possibly the entrance to a tent or a cave, which frames a view of a snow-covered mountain range in the distance. The sky is a pale, hazy blue. The overall scene is cold and desolate.

Trzy dni trwała walka
o utrzymanie bazy.
Straciliśmy cztery namioty.
Przedstonek mesy został
rozdarty na pół, a Hiszpanie
z międzynarodowej wyprawy
stracili dach. Janusza wraz
z jego namiotem wiatr porwał
i przeniósł o cztery metry.
Tak wyglądał półmetek
naszej zimowej wyprawy
na Gasherbrum I.



FOT. AGNIESZKA BIELECKA

NA LINII FRONTU

Adam Bielecki (drugi z prawej) z pakistańskimi żołnierzami w bazie wojskowej. W tle Gasherbrum I.



koniec świata, a wyprawa z kolei potrzebowała kierownika bazy. Rozmowa z Arturem Hajzerem, szefem wyprawy, wyglądała jakby chodziło o pracę w korporacji: „Obsługa komputera? Zdolności organizacyjne? Montowanie filmów? Pisanie relacji? Doświadczenie w zakresie PR? Umiesz się przywiązać do liny?”. Zostałam zakwalifikowana.

Jesienią 2011 roku w Katmandu prowadziłam grupę turystyczną, a mój brat przebywał tam po wyprawie na Makalu. Tam właśnie pierwszy raz usłyszałam od niego, że być może pojedzie zimą na wyprawę w Karakorum. Potem, już w Polsce, gdy oświadczyłam, że chcę się z nimi zabrać, bo potrzebuję wakacji, zakomunikował mi, że jestem wariatką.

Uparłam się. Chciałam wrócić do Pakistanu – potrzebowałam pojechać gdzieś na

WIEJĘ JAK NA DIABŁAKU

Wspinamy się powoli niewielką stromą granią po prawej stronie doliny lodowca Baltoro. Mieliliśmy dzisiaj do pokonania długi odcinek. Po wyjściu z Payu, gdzie znajduje się ostatni pasterski szałas na trasie, szybko weszliśmy na lodowiec. Temperatura gwałtownie spadła, choć i wcześniej nie było zbyt ciepło. To był długi dzień, ale widoki piękne – minęliśmy



FOT. AGNIESZKA BIELIŃSKA

majestatyczną wieżę Trango oraz masyw nazywany Katedrą. Dopiero teraz niebo zachmurzyło się i zaczął sypać śnieg.

Kontynuując wspinaczkę, trafiłam do obozu wojskowego w Urdukas, skąd pakistańscy żołnierze skierowali mnie w prawo, do miejsca naszego obozu. Znalazłam się na obszernej skalnej platformie w momencie, gdy wdrapywał się na nią Janusz. Zapytany przez mojego brata, trzymającego w rękach kamerę, jak się szło, odpowiedział: – *Spoko, jak na Babią Górę*. Porównanie całkiem trafne, bo zaczęło wiać – a na Diablaku zawsze wieje.

Zanim rozbiliśmy nasz namiot, mój odtwartzacz MP3 zamarzył i odmówił współpracy – nie udało się go uruchomić już do końca wyprawy. W dużym namiocie rozłożyliśmy śpiwory. Było nas dziesięcioro: nasza wyprawa – Adam Bielecki, Janusz Gołąb, Artur Hajzer i ja

– oraz sześciu członków wyprawy międzynarodowej Gerfrieda Goeschla. Wszyscy idziemy na Gasherbrum I (8068 m n.p.m.), planując pierwsze zimowe wejście na ten szczyt.

Kubki z gorącą herbatą parowały. Adam w grubych rękawicach przekładał strony książki. Trzeci dzień trekkingu do bazy się kończył. Zaczynała się pierwsza z pięćdziesięciu siedmiu nocy na lodowcu.

NAJWYŻSZE NA ŚWIECIE POLE BITWY

Z Urdukas do bazy docieramy w trzy dni. Jest 21 stycznia. Pogoda się popsuła, zachmurzenie i opady śniegu zasłaniały K2 i Świetlistą Ścianę Gasherbrum IV, a na Concordii widzieliśmy tylko podstawę Mitre Peak. Ostatnią noc przed bazą, dzięki uprzejmości armii

NASZE WIGWAMY W HIMALAJACH

Podstawa sukcesu, czyli baza wyprawy na lodowcu Abruzzi, na wysokości 5030 m n.p.m.



pakistańskiej, spędziliśmy w obozie wojskowym. W siedem osób spaliśmy w małym igloo z laminatu, osmolonym naftowymi palnikami – standardowym pomieszczeniu żołnierzy stacjonujących na lodowcu Baltoro.

Obozy armii znajdują się na trasie do bazy i są oddalone od siebie o cztery godziny marszu. W pobliżu bazy znajduje się największy z nich, w którym rezyduje pakistański major – dowódca sił zgrupowanych na lodowcu. Żołnierze określają ten rejon mianem najwyżej na świecie położonego pola bitwy. Poprzez Conway Saddle na wysokości 6110 m n.p.m. przebiega granica, czy raczej (biorąc pod uwagę trwający o nią spór między Indiami a Pakistanem) linia demarkacyjna, ustalona przez

ONZ w 1949 roku. Trzy kilometry na północny zachód od przełęczy Indie i Pakistan graniczą z kolejnym potężnym sąsiadem – Chinami, które włączyły się do otwartego konfliktu w latach 1960. po stronie Pakistanu.

Temperatury w bazie, położonej na lodowcu Abruzzi na wysokości 5030 m n.p.m., wahają się pomiędzy -20°C a -30°C . W mesie dzielonej z międzynarodową wyprawą działają dwa grzejniki. W namiotach zamarzają wilgotne chusteczki, ale w dwóch śpiworach puchowych i z butelką ciepłej wody w nogach jest ciepło. Poranki to studiowanie prognoz pogody i odbiór poczty.

Chłopaki się niecierpliwia i gdy tylko aura pozwala, wyruszają założyć Obóz I, powy-



FOT. ADAM BELECKI

TRUDNY START

Najtrudniejszy technicznie fragment drogi na Gasherbrum I zaczyna się zaraz nad bazą, na wysokości 5100 m, a kończy w Obozie I na 5950 m. Ten odcinek to tzw. Icefall, czyli lodospad. Jest on szczególnie trudny zimą, gdy wiatry odstawiają setki lodowych szczelin. Na zdjęciu Artur Hajzer przed wejściem na lodospad.



FOT. AGNIESZKA BELECKA

BOHATEROWIE DRUGIEGO PLANU

Nasi tragarze w drodze do bazy na Concordii.

żej lodowca, na wysokości 5950 m n.p.m. Za pierwszym wyjściem udaje im się wyznaczyć i przygotować na lodowcu jedną trzecią odcinka do „jedyńki”. Dopiero przy drugim wyjściu, po jedenastu godzinach marszu przez lodowy labirynt, docierają do celu.

DŁUGA LEKCJA CIERPLIWOŚCI

Film o wspinaniu w górach najwyższych, zwłaszcza zimą, byłby długi i nudny – głównie o siedzeniu w bazie i czekaniu na pogodę. Na

szczęście stosunkowo szybko, bo w osiemnastę dni od przybycia do bazy, udało się założyć Obóz III na wysokości 7000 m n.p.m. Nie obyło się bez strat. Jeden z naszych dwóch pakistańskich partnerów, Ali Sadpara, poważnie odmroził sobie paluchy w trakcie wyjścia przez Kular Japoński do „trójki” i został wyeliminowany z akcji. Drugi, Shaheen Baig, wpadł do szczeliny w czasie jednego z powrotów przez lodowiec, ale na szczęście nic mu się nie stało.

Od 9 lutego – dnia, w którym założono Obóz III – rozpoczyna się długa lekcja cierpli-



SZCZYT G1

Gasherbrum Pierwszy
(pierwszy z lewej)
widziany z bazy.



FOT. AGNIESZKA BIELIŃSKA



NA LODOSPADZIE

Artur, Adam i Janusz
w drodze do Obozu I.



OSTATNI PRZYCZÓŁEK

Obóz III na wysokości
7000 m n.p.m.

wości. W lutym warunki pogodowe wyraźnie się pogarszają. Dni upływają nam w mesie na grze w szachy, domino, brydża oraz czytaniu książek. Wieczorami oglądamy filmy. Kilka razy na dobę z niecierpliwością studiujemy wykresy pogodowe.

Kurtuazyjne wizyty w obozie wojskowym pokazują, że konflikt graniczny ma realny wymiar. Duży obszar w jego pobliżu, otoczony

drutem kolczastym, to miejsce, gdzie spadły kiedyś indyjskie rakiety, które nie odpaliły. Cały czas jest to aktywne pole minowe. Tuż obok, w żołnierskim igloo dowódcy, częstowani jesteśmy grillowanym kurczakiem.

19 lutego ma się zacząć sztorm, a wiatr w bazie może przekroczyć nawet 120 km/godz. Trzeba pójść do „jedyńki”, zwinąć namiot i donieść ładunki. Ali się odmroził, a Shaheen nie może pójść sam. Chłopakom nie uśmiecha się chodzenie po lodowcu – Artur pół żartem, pół serio rzuca, żebym poszła z Shaheenem. Podchwytuję temat i po próbnym wyjściu na lodowiec 17 lutego wyruszamy z transportem. Reszta wyprawy umacnia bazę przez burzę. Przejście przez lodowiec jest faktycznie mozolne i niebezpieczne, ale po 11 godzinach udaje nam się dotrzeć do Obozu I. Następnego dnia zwijamy namiot i wracamy do bazy, która jest przygotowana jak przed bitwą.

Walka z wiatrem trwała trzy dni. Janusz wraz z namiotem przefrunął kilka metrów. Straciliśmy cztery namioty. 21 lutego wiatr zaczął słabnąć.

Doprowadzamy bazę do porządku. Powraca rutyna zdominowana śledzeniem prognoz. 27 lutego jest nadzieja na okno pogodowe. Artur, Janusz, Adam i Shaheen wyruszają dwa dni wcześniej z planem ataku szczytowego. Silny wiatr wywiewa ich z Kuluaru Japońskiego. Atak się załamuje i wracają do bazy. W drodze powrotnej Janusz pechowo wpada do szczeliny – ma rozbity nos i potłuczone biodro. Nastroje spadają, pogoda jest fatalna, długie oczekiwanie nadweręza naszą cierpliwość.

GASHERBRUM JEST NASZ

8 marca otwiera się kolejna możliwość ataku szczytowego. 6 marca wszyscy wyruszają do góry, baza się wyludnia. Wieczorem wraca Darek Załuski, który wycofał się z ataku międzynarodowej ekipy Goeschla. Obie wyprawy, idąc różnymi drogami, mają się spotkać na szczycie 8 marca. Siedzimy z Darkiem i Pakistańczykami obsługującymi bazę jak na szpitalkach. Dyżury przy radiu, nieprzespane noce.

7 marca silny wiatr nie pozwala na dojsście do Obozu III. Wszyscy: Adam, Janusz, Artur



FOT. ADAM BIELECKI

i Shaheen zwracają do „dwójki”. Mamy problemy z komunikacją z Goeschlem.

Analiza map pogody pozwala jednak na skonstruowanie nowej strategii i ponowienie ataku szczytowego. W bazie godziny dłużej się niemiłosiernie. Przyklejeni do radia i komputera nie możemy sobie znaleźć miejsca, bo nic więcej nie możemy zrobić.

Około ósmej rano 9 marca 2012 Adam nawiązuje połączenie z bazą – ze szczytu! Emocje są niesamowite. Dominuje radość i ulga. A ja cieszę się, że zaczną niebawem schodzić.

Zaraz potem połączył się też z nami Gerfried, informując, że oni właśnie zaczynają atak. I to, niestety, była ostatnia z nim rozmowa.

Nasza czwórka wróciła do bazy 10 marca. Adam Bielecki tak opowiadał o ich wejściu:

– *Pomimo odwrotu siódmego marca byliśmy*

zdeteminowani wykorzystać stosunkowo dobrą prognozę pogody i podjąć kolejną próbę zdobycia Gasberbrum I. Ósmego marca, wraz z Shaheenem i Januszem, ruszyliśmy do góry, aby w wystarczająco dobrych warunkach, po zaledwie pięciu godzinach i w świetnej formie, osiągnąć Obóz III. Shaheen pomógł nam jeszcze rozbić namiot i po wzruszającym pożegnaniu zszedł do Obozu II, gdzie czekał Artur.

My ok. godziny 15 byliśmy już rozgoszczeni w naszym dużym namiocie. Nagotowaliśmy dużo picia, udało nam się też coś przekąsić, przykryliśmy się jedynym posiadanym przez nas śpiworem i zapadliśmy w drzemkę. O 22 rozpoczęliśmy przygotowania do wyjścia, a równo o północy wyruszyliśmy do ataku. Była piękna bezchmurna noc z księżycem świecącym na tyle jasno, że nie musieliśmy używać czółówek. Po raz pierwszy na

ADAM ZDOBYWCA

Bielecki na szczycie.



wyprawie siła wiatru była mniejsza niż prognozowana. Szybkie tempo wspinaczki podyktowane było niską temperaturą – jakkolwiek postój dłuższy niż kilka minut był wykluczony. Zmrożony firn, a miejscami lód, pozwalał szybko zdobywać wysokość, ale wymagał dużej koncentracji, szczególnie podczas zejścia, które w znacznej części odbyło się metodą front point. Ze względu na brak zagrożenia lawinowego mogliśmy iść wprost w stronę grani, unikając niezbędnego latem trzymania się blisko skał.

Świt zastał nas niedaleko grani szczytowej, na blisko 100-metrowym odcinku szklistego lodu, który okazał się być ostatnią przeszkodą w drodze do mety. Na szczycie spędziłem może osiem minut, wykorzystując ten czas na łączność radio-

wą z bazą, robienie zdjęć i próbę – bezskuteczną – dostrzeżenia śladów międzynarodowej grupy Goeschla.

Zejscie wymagało bardzo dużej koncentracji, a od Obozu III odbywało się ono w gwałtownie pogarszających się warunkach pogodowych. Do „dwojki” dotarliśmy, bardzo szczęśliwi i z niegroźnymi odmrożeniami, około godziny 17.

Międzynarodowa wyprawa Gerfrieda Goeschla planowała, podobnie jak i nasza grupa, atakować szczyt 8 marca, jednakże zdobywali oni górę od strony południowej, pokonując nową drogę i następnie trawersując około 3-kilometrowe plateau na wysokości powyżej 7000 m n.p.m. Do poranka 9 marca nie wiedzieliśmy, czy im się to udało, czy nie, ze wzglę-

Autorka była kierownikiem bazy w czasie wyprawy Polskiego Himalaizmu Zimowego na Gasherbrum I.



NASZE ORŁY

Członkowie polskiej zimowej wyprawy na G1, w komplecie: Artur Hajzer, Janusz Gołąb, Adam Bielecki i Agnieszka Bielecka.

REKLAMA

Aktywna Mama

to wyjątkowy magazyn dla kobiet łączących macierzyństwo z pracą zawodową



Znajdziesz w nim:

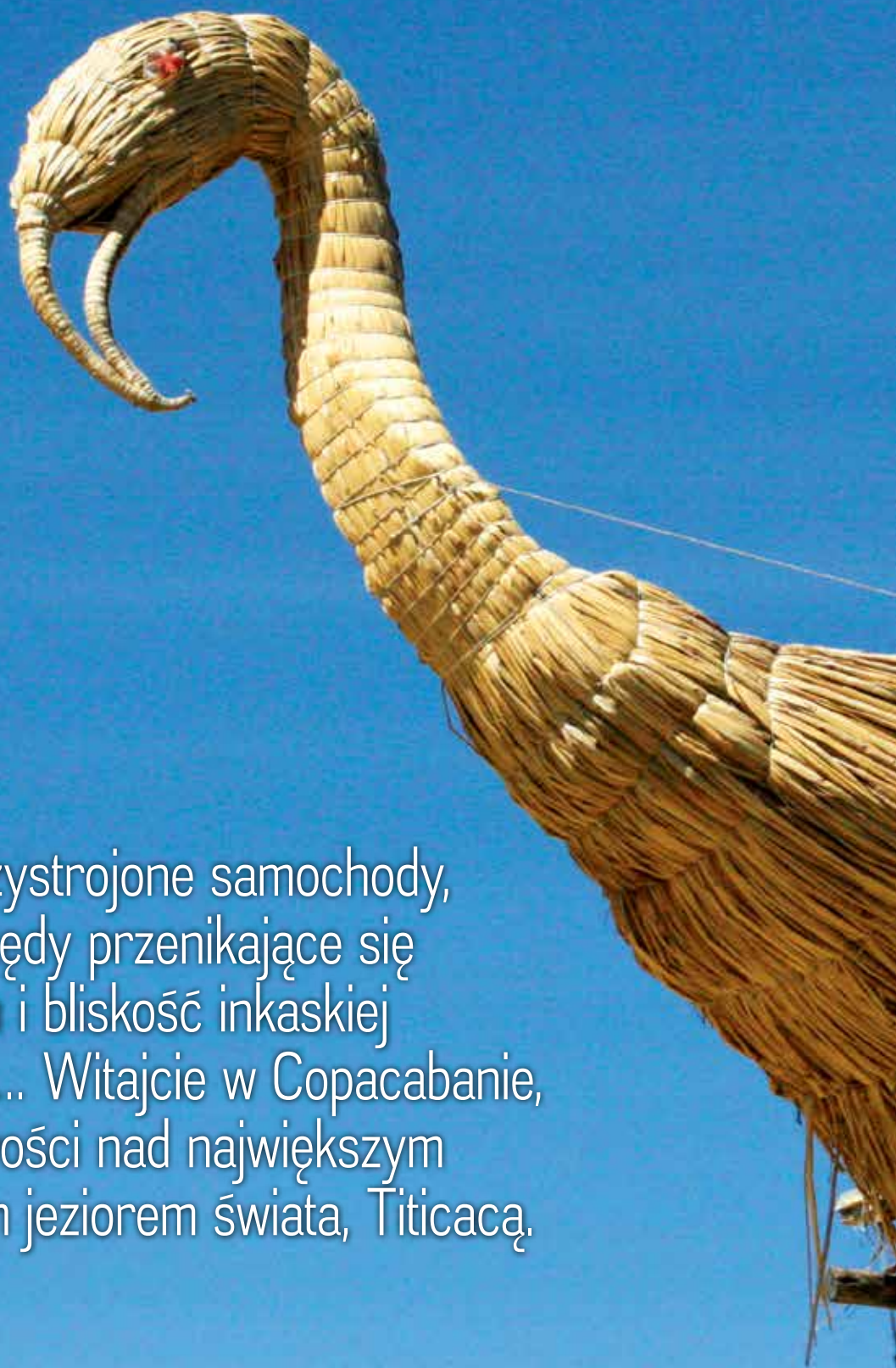
- informacje o rynku pracy,
- relacje z wydarzeń
- porady prawnika, psychologa, ekspertów z zakresu zdrowia i urody.

W lutowym wydaniu Aktywnej Mamy:



du na problemy z łącznością. Kiedy Adam z Januszem schodzili ze szczytu, Gerfried nawiązał łączność z bazą – informował, że zamierzają zaatakować szczyt. Około południa 9 marca warunki pogodowe uległy znacznemu pogorszeniu. Brak łączności i pogarszająca się pogoda spowodowały zorganizowanie akcji poszukiwawczej. Nie przyniosła ona jednak żadnych rezultatów. Do tej pory nie wiadomo na pewno, co się wydarzyło.

15 marca Adam i Janusz ze względu na odmrożenia polecili do Skardu helikopterem. Reszta wyprawy wyruszyła pieszo z bazy do Askole, gdzie okazało się, że jeepy nie mogą dojechać, gdyż ogromne lawiny zasypały drogę. Czekał nas jeszcze jeden dzień marszu. ○



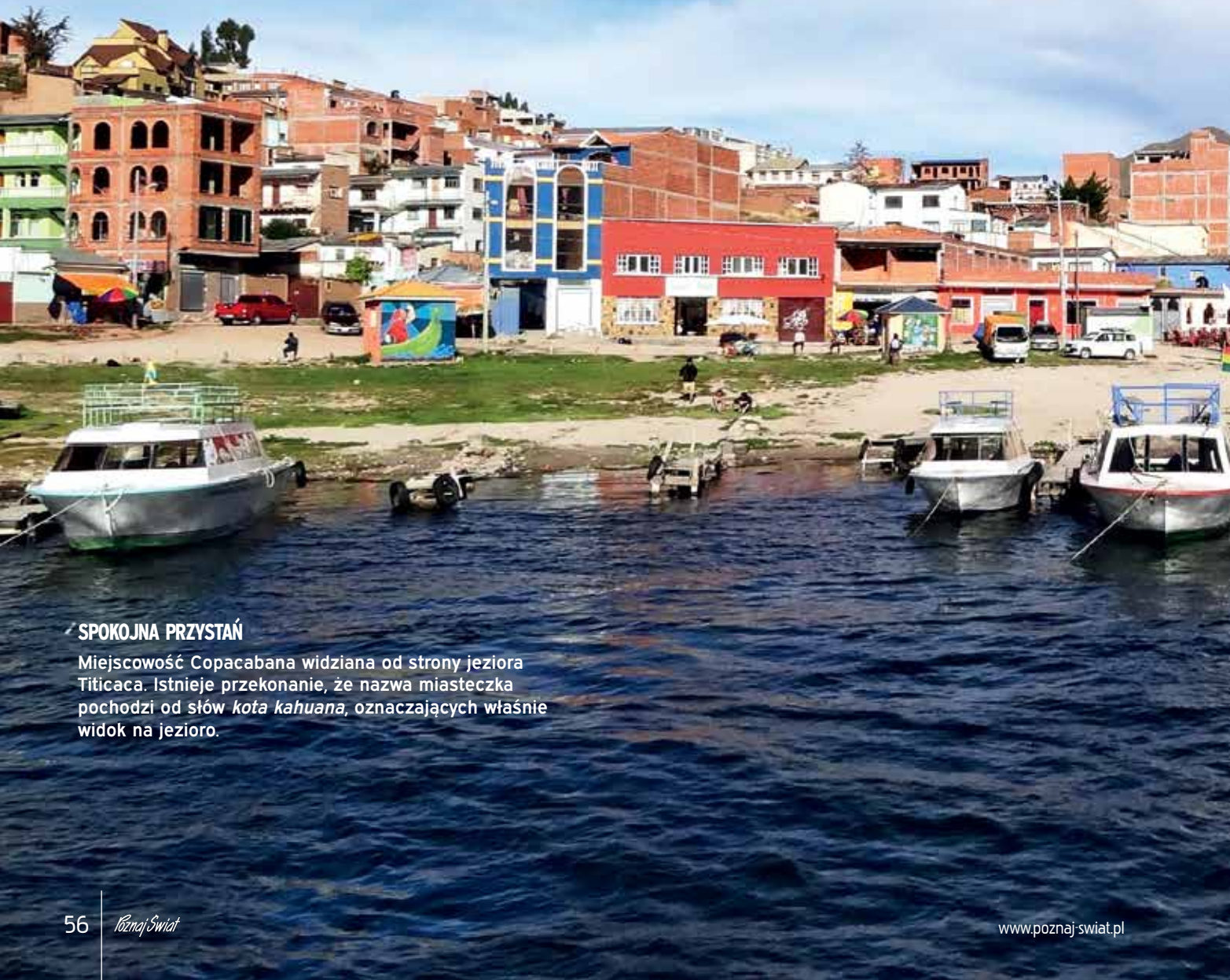
Fantazyjnie przystrojone samochody, indiańskie obrzędy przenikające się z katolicyzmem i bliskość inkaskiej Wyspy Słońca... Witajcie w Copacabanie, małej miejscowości nad największym wysokogórskim jeziorem świata, Titicacą.

COPACABANA NAD TITICACA

Filip Choma

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA





SPOKOJNA PRZYSTAŃ

Miejscowość Copacabana widziana od strony jeziora Titicaca. Istnieje przekonanie, że nazwa miasteczka pochodzi od słów *kota kahuana*, oznaczających właśnie widok na jezioro.

Wielu osobom Copacabana kojarzy się zapewne jedynie ze słynną częścią miasta Rio de Janeiro. Niewielu wie, że brazylijska dzielnica zawdzięcza nazwę małej boliwijskiej miejscowości. A dokładniej, cudownej figurze patronki Boliwii, rozstawionej na całą Amerykę Południową – Matce Boskiej Dziewicy z Copacabany.

Cudowna figura znajdująca się w sanktuarium położonym w centrum boliwijskiego miasteczka przyciąga niezliczone rzesze południowoamerykańskich pielgrzymów, chcących zobaczyć jedyną w swoim rodzaju Matkę Boską o indiańskich rysach twarzy. Figura powstała w drugiej połowie XVI wieku. Od tej pory uzdrowia i czyni cuda proszącym o łaski.

PO BOŻEMU I PO SWOJEMU

Oprócz modlitw kierowanych ku Virgen de Copacabana pielgrzymi kultywują tradycję święcenia nowo zakupionych pojazdów, które przed ceremonią przyozdabia się na przeróżne sposoby. Przed sanktuarium znajduje się mnóstwo straganów, na których kupić można wszelakie dekoracje, fajerwerki i alkohol, potrzebne podczas obrzędu. Ceremonia poświęcenia jest bardzo ważna, nie tylko dla właściciela

OŚLE ŁĄKI

Większość mieszkańców Isla del Sol zajmuje się rolnictwem i hodowlą zwierząt. Niemal na każdym kroku można tam spotkać lamy, alpaki i ośle.



FOT. FILIP CROMA





FOT. FLIP CREMA

Z GÓRKI NA PAZURKI

Uliczka prowadząca z Cerro Calvario w stronę centrum Copacabany.

pojazdu, ale i całej rodziny. Duchowny odmawia krótką modlitwę, a następnie święci pojazd długim kwiatem zanurzanym w wiadrze ze święconą wodą. Po odejściu księdza rodzina spryskuje swoje auto alkoholem i odpala fajerwerki. Finałem obrzędu jest pamiątkowa fotografia całej rodziny, do której czasami zaprasza się również inne osoby – w taki sposób i my zostaliśmy uwiecznieni na jednej z rodzinnych pamiątek.

W Copacabanie zacierają się granice pomiędzy indiańskimi rytuałami a katolicyzmem. Aby się o tym przekonać, należy udać się w kolejne miejsce kultu, z którego słynie miejscowość, a mianowicie Cerro Calvario, czyli Góry Kalwarii, z której szczytu rozpościera się widok na okolicę i jezioro Titicaca. Na zboczu góry znajdują się powstałe w latach pięćdziesiątych stacje drogi krzyżowej. Wieńczy ją ołtarz oraz... miejsce indiańskich obrzędów. W ich trakcie szamani odprawiają rytualne modlitwy, błogosławiąc repliki dóbr materialnych, które pielgrzymi posiadają lub chcieliby posiadać.

JEDZENIE JAK MARZENIE

Miejscowość położona jest nad jeziorem, więc głównymi specjaliami miejscowej kuchni są ryby (przede wszystkim *trucha*, czyli pstrąg) przyrządzone na różne sposoby. Najlepiej znaleźć tradycyjną knajpkę, gdzie do spróbowania przepysznych dań zachęcają nie tylko ceny, ale również uprzejmość obsługi, którą – jak to często bywa w Boliwii – są dzieci. Na tym przykładzie znakomicie można pokazać, jak wygląda tradycyjny rodzinny boliwijski biznes: ojciec wypływa na połów, żona przyrządza specjalny, a dzieci zachęcają do odwiedzenia i spróbowania ich kuchni oraz obsługują przybyłych gości.

Najwięcej tradycyjnych punktów gastronomicznych znaleźć można przy miejscowej hali sportowej (Plaza Sucre), gdzie również skosztować trzeba innych lokalnych specjalów. Osobiście Copacabane kojarzyć będą z ciepłymi kukurydzianymi ciastkami

AUTOFIESTA

Święcenie samochodów to dla Boliwijszczyków ważna tradycja. Kolejki bogato udekorowanych aut ciągną się przez całe miasteczko.



FOT. FLIP CREMA

WYSPA SŁOŃCA

Widok z Isla del Sol na błękitną przestrzeń jeziora Titicaca.



FO: FLIP CHOMA

zagryzonymi świeżym owocem figi, sprzedawanymi z wózka oprowadzanego po uliczkach tej urokliwej miejscowości. Na miejscu należałoby spróbować też dań oferowanych przez lokalne fast foody, w których można nasycić się kanapkami z mięsem i innymi dodatkami, popijając gorącym naparem z liści koki lub innego magicznego zielska. Mimo iż sanepid miałby zapewne wiele do powiedzenia w związku z warunkami przechowywania i sprzedaży żywności w tego typu punktach, to zaświadczać, że warto spróbować, a smaki lokalnej kuchni będą śniły się długo jeszcze po opuszczeniu tego wyjątkowego miejsca.

NARODZINY SŁOŃCA

Odwiedzając Copacabangę, trzeba również zawitać, choćby na jeden dzień, na pobliską Isla del Sol, czyli Wyspę Słońca. Wierzy się, że to właśnie tam narodziło się Słońce, a wraz z nim Manco Capac – założyciel dynastii Inków. Wyspa oddalona jest o dwie godziny drogi od Copacabany. Znajduje się na niej kilkadziesiąt pozostałości po inkaskich budowlach, świadczących o bogatej historii tego miejsca, a widoki rozpościerające się z gładkich szczytów wręcz oszałamiają otaczającym wyspę błękitem Lago Titicaca.

Większość mieszkańców wyspy zajmuje się rolnictwem i hodowlą zwierząt, dlatego niemal na każdym kroku można spotkać lamy, alpacki i osły, a pola zdają się zajmować każde miejsce nadające się pod uprawę. Dla tych, którzy będą chcieli zostać na wyspie, przystosowano kilkanaście domków wraz z pokojami do wynajęcia



FOT. JULIA MICHAŁCZEWSKA

NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Dzieci biegają po pływających wyspach bez żadnej opieki. Rodzice nie wydają się przejęci tym, że maluchy bawią się nad jeziorem, którego średnia głębokość wynosi 150 metrów.



ŻYCIE PŁYNIE NA TRZCINIE

Pływające wyspy wykonane są z trzciny, z której buduje się także domy i łodzie oraz wytwarza różne przedmioty. Młode pędy można także jeść.



FOT. S. J. A. MICHAŁCZYŃSKA

i choć na luksusy nie ma co liczyć, to warto pozostać tam choćby na jedną noc.

CO W TRZCINIE PISZCZY

Najbardziej charakterystycznymi miejscami związanymi z jeziorem Titicaca są Uros – pływające wyspy z trzciny. W pobliżu Copacabany znajduje się kilka wysp wybudowanych specjalnie dla turystów. Aby zobaczyć jak płynie życie na oryginalnych Islas Flotantes, można przedostać się na peruwiańską stronę jeziora, do miejscowości Puno. Stamtąd co jakiś czas kursują łodzie zabierające chętnych do zobaczenia, co w trzcinie piszczy.

Obecnie wyspy zdają się być lekko skomercjalizowane – bo któż nie oparłby się pokusie zaproszenia gości do swojego domu, gdyby mu za to płacili. I to kilka razy dziennie. Mimo że w obecnej chwili życie na Islas Flotantes kręci się głównie wokół turystyki, to jest parę rzeczy, które nie zmieniły się od dawnych czasów. Wyspy i domy nadal buduje się w tradycyjny sposób, a choroby uprzykrzające życie mieszkańcom wciąż dają w kość (dosłownie, bo główną bolączką jest tutaj reumatyzm). Nadal istnieją pływające szkoły i bary, a głównym pożywieniem jest to, co oferuje jezioro.

Ułatwieniem życia na wodzie są dziś baterie słoneczne, dzięki którym można poogłądać telewizję, a nawet podgrzać co nieco na kuchence. Do sklepu podpłyniemy łodzią motorową. Skontaktowanie się z łodem już nie jest zbyt dużą przeszkodą, bo z zasięgiem telefonii komórkowej raczej nie ma problemu. Pieniądze zawsze przyplwają, a w zamian za nie mieszkańcy pokażą, jak buduje się trzciniowe wyspy czy domy i zaśpiewają kilka piosenek.

I tu pojawia się pytanie: czy warto tam zaglądać, skoro to już tak popularne i w pewnym stopniu komercyjne? Moim zdaniem warto, bo to, co zobaczymy na miejscu, teatrem jeszcze nie jest. A kto wie, jak będzie za lat kilka. ○

GOŚCIU MIŁY, GOŚCIU DROGI

Mieszkańcy skomercjalizowanych Islas Flotantes zapraszają turystów do swoich domów, by pokazać, jak się tu żyje.



FOT. S. J. A. MICHAŁCZYŃSKA

Sebastian R. Bielak

PRYZYSTANEK ALASKA

Swoją dzikość oraz brak znaczących wpływów ludzkiej cywilizacji Alaska zawdzięcza nie tylko położeniu na krańcu świata, ale przede wszystkim wieloletniej ochronie przyrody.



forshutterstock





ZA GÓRAMI, ZA LASAMI, ZA RZEKAMI...

Porośnięte tajgą
przedgórze gór Kenai
nad rzeką Kenai.

Mój trzymiesięczny pobyt na Alasce był połączeniem przyjemnego z pożytecznym. Przyjemność czerpałem z podróżowania i zwiedzania. Natomiast pożytek płynął ze stażu naukowo-badawczego, jaki odbywałem w trzech przyrodniczych obszarach chronionych: Kenai, Koyukuk i Nowitna. Staż ten pozwolił mi dobrze poznać alaskańską przyrodę.

WSZYSTKO JEST KENAI

Pierwsze sześć tygodni spędziłem na półwyspie Kenai na południu Alaski, nad Zatoką Cooka. Jedną z cech charakterystycznych tego regionu jest ogromna ilość śródlęśnych, polodowcowych jezior, które powstały tysiące lat temu, gdy z terenów tych wycofywał się ku północy rozległy lądolód. W pobliżu jednego z takich jezior, o nazwie Headquarters, miałem przyjemność mieszkać. Nad jego brzegiem

spędziłem wiele uroczych wieczorów, przesiadując na drewnianym pomoście, delektując się ciszą i pięknymi widokami. Za moimi plecami rósł rzadki las karłowatego świerka czarnego, przede mną rozpościerała się ciemnoniebieska tafla jeziora, a w oddali widziałem ośnieżone szczyty gór Kenai.

Pewnego dnia wybrałem się na przejażdżkę wokół innego, typowo górskiego jeziora Skilak. Trasa prowadziła wzdłuż grzbietów górskich, skąd roztaczała się panorama na całe jezioro położone w głębi doliny. Gdziekolwiek okiem sięgnąć widziałem gęste iglaste lasy, ośnieżone szczyty górskie wznoszące się nad błękitnym jeziorem, a wysoko w górze szymbujące bieliki amerykańskie.

W trakcie przejażdżki zobaczyłem przy drodze niedźwiedzicę baribala z dwoma młodymi. Widząc samochód, jeden z niedźwiadków próbował wdrapać się na najbliższe drzewo, piszcząc przy tym głośno ze strachu. Jego

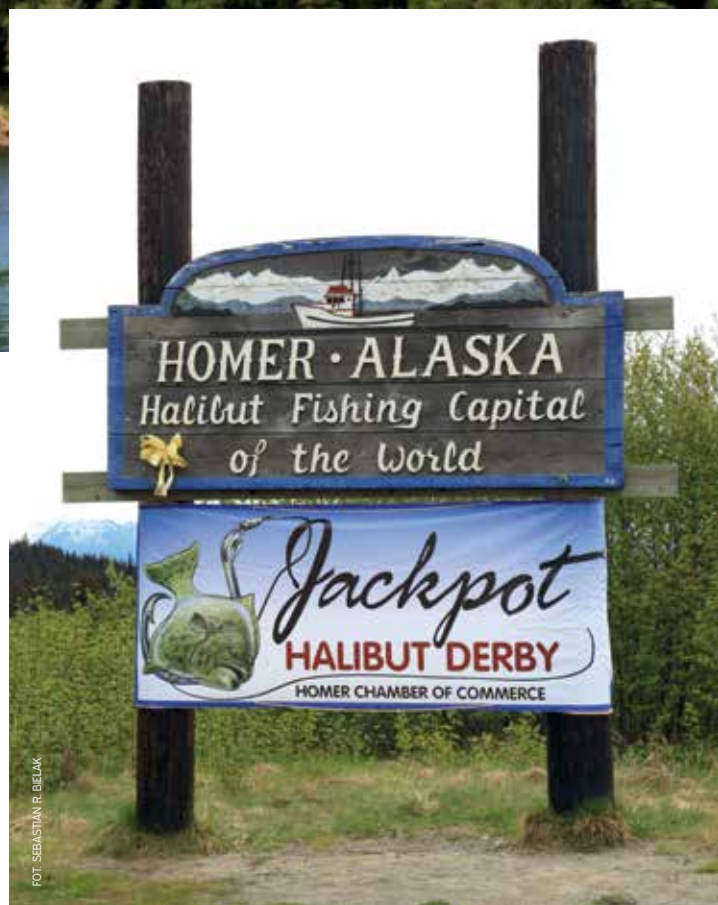


mama – dostrzegając, że człowiek utrzymuje odpowiedni dystans – przywołała malca do siebie, po czym cała rodzinka podreptała spokojnie w głąb lasu.

Kiedy indziej postanowiłem zobaczyć z bliska jezioro Kenai. Wydawało mi się dosyć dziwne, a wręcz śmieszne, że zarówno cały półwysp, pasmo górskie, największa rzeka oraz jedno z największych jezior na półwyspie mają

tę samą nazwę – Kenai. Zupełnie jakby odkrywcom tych terenów brakowało oryginalnych pomysłów na nazwy geograficzne.

Z daleka jezioro Kenai wyglądało zjawiskowo – jego wody miały intensywny, turku-



WITAJCIE NA KOŃCU ŚWIATA

Motto miasta Homer, słynącego z połowów halibutów, brzmi: „Gdzie kończy się ląd, a zaczyna morze”.

sowy kolor – jakby przeniesione z Karaibów. Barwa jeziora jest efektem unoszenia się w toni wodnej drobin osadów wypłukanych z lodowców. Cząstki tych osadów załamują odbite promieniowanie słoneczne, wywołując ten

niesamowity efekt. Na chwilę wsadziłem rękę do wody – była lodowata. Wszystkie jeziora położone w górach Kenai zasilane są topniejącymi lodowcami, stąd tak niska temperatura wody oraz wysoka, sięgająca ponad 5 metrów przejrzystość.

Słynie on z atrakcyjnych łowisk halibutów. Mieszkańcy miasteczka z dumą przechwalają się, że dla miłośników łowienia tych ryb Homer jest niekwestionowaną stolicą świata. Halibut to ogromna, sięgająca nawet ponad 3 m długości oraz 300 kg wagi, morska ryba

LODOWCOWO-TURKUSOWE

Jezioro Kenai jest najgłębszym na półwyspie o tej samej nazwie. Turkusowy kolor zawdzięcza drobinom lodowcowych osadów unoszącym się w wodzie.



FOT. SEBASTIAN R. BELAK

HOMER I HALIBUTY

Innym razem wybrałem się nad zatokę Kachemak zobaczyć z bliska Pacyfik oraz zwiedzić słynny port w Homer, położony na południowo-zachodnim krańcu półwyspu Kenai.

przypominająca z wyglądu flądre lub płastugę. Podobno największy, jakiego złowiono w Homer, ważył prawie 150 kg, co przez pewien czas stanowiło rekord Alaski. Mięso halibuta jest pożywne i smaczne, choć bardzo tłuste.

LETNIE ŚNIEGI

Góry nad jeziorem Skilak nawet w środku lata bywają pokryte śniegiem.



Homer leży nad zatoką Kachemak, która jest fragmentem znacznie większej Zatoki Cooka. W miejscu, gdzie mieszają się wody obydwu zatok, znajduje się ogromny cypel, którego środkiem biegnie droga łącząca miasteczko z portem. Po obydwu stronach drogi stoją rzędy sklepików z pamiątkami, liczne kawiarenki, restauracje oraz punkty usługowe. Po wschodniej stronie cypła, za solidnym falochronem, w rozległych dokach portowych kołyszą się na wodzie setki zacumowanych jachtów i żaglówek. Połączone z portem miasteczko zrobiło na mnie wrażenie typowego nadmorskiego kurortu, amerykańskiego odpowiednika polskich Rowów lub Łeby.

OKO W OKO Z BIELIKIEM

Kenai to nie tylko jeziora, góry i Pacyfik – to przede wszystkim dzikie zwierzęta, wśród których moją szczególną uwagę przyciągały bieliki amerykańskie, czyli alaskańskie orły. Już w pierwszych dniach pobytu na Alasce zauważyłem, że jest ich tutaj mnóstwo – zwłaszcza na wybrzeżu oraz w pobliżu rzek, gdzie łatwiej jest im upolować ryby stanowiące podstawę ich diety. Bieliki to ostrożne ptaki, więc nie

było mowy, aby się do nich zbliżyć. Pewnego dnia nadarzyła się jednak okazja do spotkania z alaskańskim orłem dosłownie „oko w oko”, żeby nie powiedzieć „dziób w dziób”.

Do siedziby parku Kenai zadzwonił miejscowy z wiadomością, że w pobliżu jego domu



ŁOŚ SUPERKOŚ

Łoś alaskański (*Alces alces gigas*) to największy łoś na świecie oraz żywy symbol parku Kenai.

znajduje się ranny bielik. Ptak miał złakomić się na woblera, czyli wędkarską przynętę, która do złudzenia przypomina niewielką rybę, z tą tylko różnicą, że jest wyposażona w dwie duże i ostre kotwiczki. Wbiły się one w ciało orła. Był to młody osobnik, w wieku 4-5 lat, ponieważ jego upierzenie było jeszcze nie w pełni wybarwione – nie miał charakterystycznych dla dorosłych osobników białych piór na głowie.



Założyliśmy grube, skórzane rękawice sięgające aż do barków, po czym umówiliśmy się, że obejdziemy rannego orła z dwóch stron, żeby odpędzić go od jeziora i nakierować na pobliskie zarośla, gdzie łatwiej będzie go schwytać. Jednak gdy ptak nas spostrzegł, zaczął uciekać w przeciwnym kierunku, sadząc dwumetrowe susy niczym kangur – najwyraźniej kotwiczki wbiły mu się też w skrzydło i nie był w stanie latać. Po kilkunastu minutach chaotycznej bieganiny za ptakiem w końcu udało nam się złapać go w siatkę i ostrożnie położyć na masce samochodu.

Z bliska orzeł okazał się znacznie większy, niż początkowo sądziłem. Był wychudzony, przestraszony i śmierział padliną. Moim

głęboko w dziobie. Doszliśmy do wniosku, że konieczna jest operacja przeprowadzona przez fachowców, więc zapakowaliśmy orła do dużej, wentylowanej skrzynki i przetransportowaliśmy do specjalistycznego laboratorium w Anchorage.

COMBAT FISHING

Pewnego dnia dotarły do mnie informacje, że w rzece Kenai pojawiły się pierwsze w tym roku łosose pacyficzne. Nie namyślając się długo, wybrałem się w miejsce, gdzie do Kenai – największego i najbardziej malowniczego cieku na półwyspie – uchodziła inna, nieco mniejsza Russian River. Gdy byłem tu kilka

DANIA Z ŁOSIA LUB ŁOSOSIA

Wnętrze typowego dla południa Alaski przydrożnego baru. W alaskańskiej kuchni królują potrawy z ryb i owoców morza (łososia, halibuta, krewetek) oraz mięs dzikich zwierząt (łosia, renifera, dzika i foki).



zadaniem było pilnować, żeby nie zaczął się ruszać, ale przede wszystkim, żeby nie udało mu się zranić nas swoimi szponami. Ptak leżał bardzo spokojnie, ale cały czas łapał na mnie złowrogimi ślepiami, jakby czekając na błąd lub brak ostrożności. Jestem pewien, że gdyby chwycił mnie za brzuch, jednym ruchem łapy byłby w stanie go rozpruć i wypatroszyć. To doświadczenie uświadomiło mi, że dzika przyroda widziana z bliska traci dużo ze swojego uroku.

Okazało się, że usunięcie kotwiczek z ciała ptaka wcale nie było łatwe, ponieważ jedna z nich wbiła się w skrzydło, przebijając je na wylot, a druga przeszła przez język i ugrzęzła

tygodni wcześniej, dookoła panowała idealna cisza, nie było ani jednego turysty. Tymczasem teraz rzeka była obleżona przez tysiące wędkarzy. W 1986 roku w Kenai złowiono rekordowo dużego łososia o wadze 46 kg i od tej pory, każdego roku, w trakcie sezonowych wędrówek łososi na tarło, do parku Kenai przyjeżdża 150-200 tys. wędkarzy. Każdy z nich jest święcie przekonany, że to właśnie on pobije kolejny rekord Alaski.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, że tylu wędkarzy zjechało na łowiska dokładnie wtedy, kiedy łosose rozpoczęły swoją wędrówkę na tarło. Okazało się, że wielu mieszkańców miasteczka Soldotna – przez które Kenai

NA ŁÓW, NA ŁÓW

Po łosie przyjeżdża tu co roku 200 tysięcy wędkarzy. Rekordowy okaz złowiono w 1986 roku, ryba ważyła 46 kg.



WĘDKARSTWO BOJOWE

Ze względu na przepychanki i bójkę wśród wędkarzy, połowy na rzece Kenai przyjęło się określać jako combat fishing.

przeżywa kilkanaście kilometrów dalej, powyżej ujścia do zatoki Kasilof – zainstalowało na dnie rzeki sonary, dzięki którym rejestrują moment pojawienia się łososi. Potem zostaje już tylko błyskawicznie powiadomić zainteresowanych, którzy dzięki dobremu połączeniu lotniczym są w stanie przylecieć do Kenai już następnego dnia, nawet z drugiego końca Stanów Zjednoczonych.

Na parkingach nad rzeką nie było ani jednego wolnego miejsca, a przed wjazdami tworzyły się kilkusetmetrowe kolejki samochodów. Nad samą rzeką też miały miejsce dantejskie sceny. Jej brzegi oraz wypłyenia w nurcie były dokładnie obstawione przez wędkarzy co 2-3 metry na odcinku kilku kilometrów. Na łądzie stali lub siedzieli na rozkładanych krzeselkach kolejni chętni, czekając, aż w wodzie zwolni się dla nich jakiegokolwiek miejsce. Z nurtem rzeki cały czas sływały łodzie z kolejnymi wędkarzami, niebezpiecznie manewrując pomiędzy tymi, którzy stali w wodzie i uparcie łowili na spinning.

Dla tego typu wędkarstwa przyjęła się na Alasce nazwa „combat fishing”, ponieważ pomiędzy wędkarzami nagminnie dochodzi do bójkę o dostęp do najatrakcyjniejszych miejsc na łowisku albo z powodu wzajemnego przeszkadzania sobie w trakcie połowów. Jakby tego było mało, w konflikty między ludźmi włączają się często niedźwiedzie, które zwabione nad rzekę zapachami resztek rybiego mięsa, pozostawionego przez wędkarzy patrolujących na miejscu swoje zdobycze, porywają złowione ryby, często przeganiając znad rzeki wędkarzy.

Wędkowanie nad Kenai wśród takich tłumów powoduje, że część wędkarzy pada ofiarą niezdarności lub bezmyślności swoich kolegów. W lokalnym pogotowiu wisi ogromna tablica, a na niej zdjęcia kilkuset pacjentów, którzy zostali sfotografowani tuż przed czekającymi ich zabiegami chirurgicznymi. Tytuł tej tablicy, w wolnym tłumaczeniu, brzmi: „Miejsca, w których można mieć wbite haki w czasie wędkowania na rzece Kenai”. ○

Więcej o wyprawie na Alaskę na stronie: www.sebastianbielak.pl



ROZMOWA Z **KRZYSZTOFEM PIASECKIM** satyrykiem, aktorem kabaretowym

W tekście „Globtroter” w Waszym kabarecie Staszek Wolski powiedział coś, co każdy podróżnik powinien przyjąć jako maksymę: „mam za sobą pięć tysięcy mil, przed sobą trzy tysiące mil... Mówię sobie: nie wracam, nie odpłaca się”.

Nie pamiętam.

A powinieneś znać ten tekst na pamięć, bo w trakcie tego monologu nie schodziłeś ze sceny.

Tak było. Kiedyś siedziałem bezmyślnie na scenie i dotarło do mnie, że za chwilę mam zaśpiewać piosenkę, którą zwykle wykonywałem po tym monologu, ale nie pamiętałem jaką. Lecz gdy tylko Staszek powiedział ostatnie słowa, które brzmiały: „do zobaczenia w Klubie 6 kontynentów”, pamięć natychmiast wróciła.

Ty jesteś takim globtroterem wędrowki po kabaretach. Chyba rekordzistą Polski. Występowałeś w największej liczbie kabaretów. Pamiętasz całe te przebyte 5 tysięcy mil?

Pierwsze były „Brylantowe Spinki”, czyli duet, w którym zaczynałem... w przyszłym roku będzie 40 lat. Wygramyśmy wtedy Festiwal Piosenki w Krakowie i od tego liczę moją zawodową działalność. Potem pojechaliliśmy do Opola, gdzie dostaliśmy nagrodę za debiut i dodatkowo wycięli nas z transmisji telewizyjnej.

Co się wtedy często zdarzało.

To było tak, że oni nagrywali, a puszczali za 2 godziny. Ten czas był po to, żeby nas wyciąć. Później był kabaret „Gralak Marian”. Wkrótce zacząłem występować ze Staszkiem Zygmuntem w kabarecie, który najpierw się nazywał „Złodziejka”, a potem „Pan tu mieszka”. Następnie był Jan Pietrzak i „Młoda Egida”, by siłą rzeczy trafić do kabaretu „Pod Egidą”. Dalej kolejno byli: „Skauci Piwni” i Rewiński, grupa „Sami” – Sikorowski, Zaucha i ja, no i tak to szło cały czas.

Strasznie tego dużo.

Ktoś, kto pisał antologię kabaretu, prosił mnie, żebym mu to spisał. Przestraszyłem się, ile tego jest. W końcu zacząłem występować sam i tak jest do tej pory.

To paradoks, że żyłeś z krytyki systemu, i to zupełnie nieźle.

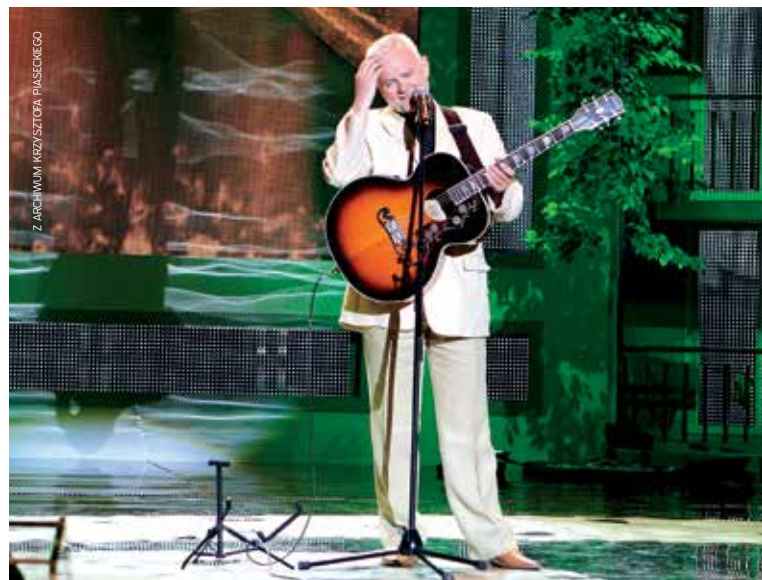
Pytał mnie kiedyś Niemiec: – Z czego pan żyje? – Jestem satyrykiem. – A co pan krytykuje, rząd? – Jak się da, to tak. – A kto wam płaci? Publiczność? – Nie, nie bardzo, bo my mamy stawki. – A te stawki kto daje? – No Estrada, takie państwowe przedsiębiorstwo. – To państwo płaci wam za to, że krytykujecie państwo? To u nas tak nie ma.

Jakie są plusy i minusy Twojego zawodu?

Ja wszystko lubię. To jest zawód, w którym obok tego, że musi się lubić występować, to trzeba lubić być w hotelu, trzeba lubić być w samochodzie...

A najciekawsze miejsce na świecie?

W Polsce lubiłem, że się jeździ, po prostu. Jeździliśmy średnio 90 km na godzinę i to nie była żadna sztuka. W tej chwili trzeba jechać 250, żeby mieć średnią 90. Podobało mi się, że dało się jeździć. Mniej mi się podobało, że benzyny nie było. Teraz podoba mi się, że wszędzie mamy infrastrukturę. Bary są, stacje benzynowe są. Tylko żeby jeszcze asfalt był.



A co lubisz w prywatnym podróżowaniu?

Ludzi. Ja zawsze chłonę ulice. Lubię obserwować zwyczaje, np. pić kawę w Brukseli i patrzeć. Poza tym lubię zmieniać miejsca. Chociaż mam jedno takie, w którym byłem parę razy. Na wyspie Hvar w Chorwacji. Jest takie miejsce, gdzie są tylko 3 apartamenty w budynku i są zawsze zajęte przez naszych znajomych. A oprócz tego jeżdżę na narty w Alpy. Tak się zdarzyło, że byłem na lodowcu w okolicach 11 listopada, czyli byli tam sami Polacy. Przez te 4 dni pobytu nie usłyszałem ani jednego słowa na „k”, co świadczy o tym, że jesteśmy coraz fajniejszym narodem. ○

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Węgry Segedyn

Segedyn jest jednym z największych miast Węgier i ważnym ośrodkiem uniwersyteckim. Dzięki studentom kwitnie tu zarówno kultura, jak i życie towarzyskie. W Segedynie warto zwiedzić przede wszystkim kilka zabytkowych obiektów sakralnych. Najważniejszym z nich jest Nowa Synagoga, uznawana za jedną z najpiękniejszych w Europie. Ciekawą świątynią jest również kościół Wotywny Dom Templom w stylu neoromańskim, z dwoma 93-metrowymi wieżami. Naprzeciwko znajduje się ruchomy zegar muzyczny z figurkami studentów poruszającymi się w rytm melodii Gaudeamus Igitur.



STUDENCI I SALAMI

Z Segedyna pochodzi słynna węgierska kiełbasa salami, a w okolicach miasta znajdują się jedno z największych upraw papryki, która jest narodową przyprawą Węgrów.



46°15'N 20°10'E

172 km na południe od Budapesztu.

Litwa Kowno

Pospaceruj jak Mickiewicz

Kowno położone jest u zbiegu dwóch wielkich rzek: Niemna i Wilii. Widok na wstęgi rzek wijących się pośród pagórków i łąk przywodzi na myśl mickiewiczowskie opisy litewskiej przyrody. Koniecznie trzeba tu odwiedzić Dolinę Mickiewicza, czyli ulubiony szlak

spacerowy poety w okresie, gdy był mieszkańcem tego miasta. Znajduje się ona w parku Ažuolynas, gdzie mieści się także ogród zoologiczny. Kowno jest bardzo urozmaicone pod względem liczby zabytków, a zwiedzanie warto zacząć od starówki położonej między Niemnem a Wilią.

Na rynku znajduje się katedra świętych Piotra i Pawła – największa gotycka świątynia na Litwie. Niedaleko usytuowane są też dwa inne kościoły dawnych klasztorów Jezuitów i Bernardynek. Najstarszy na Litwie jest również kowieński zamek, którego ruiny można podziwiać na starówce.



54°54'N 23°54'E

92 km na zachód od Wilna.



Polska Chełmno

Gotyk nad Wisłą

Chełmno zachwyca starówką, położoną malowniczo na wzgórzach wznoszących się nad Wisłą. Zachował się tu średniowieczny układ urbanistyczny, prawie cały obwód murów miejskich, wiele kamienic z XVIII-XIX wieku oraz sześć gotyckich świątyń. W najbardziej okazałym, zbudowanym na przełomie XIII i XIV wieku kościele Wniebowzięcia NMP, przechowywane są relikwie św. Walentego. Wybudowany w XVI wieku ratusz to perła architektury renesansowej. W jego zachodniej elewacji zachowała się średniowieczna miara wzorcowa – pręt chełmiński mierzący 432,5 cm.



53°21'N 18°25'E

34 km na południowy zachód od Grudziądza.



Hiszpania

ZAMEK TOSSA DE MAR

Cezary Banasiak



FOT. CEZARY BANASIAK

Naskale, o którą rozbijają się spienione morskie fale, wznoszą się wspaniałe mury obronne z widoczną z oddali wieżą zwieńczoną blankami. Tossa de Mar, która swą historią sięga starożytności, znajduje się na słynnym wybrzeżu Costa Brava. Wspomniane mury to fortyfikacje miejskie z XII wieku, okalające jedną z najpiękniejszych i najsłynniejszych starówek na Półwyspie Iberyjskim, zwaną Vila Vella.

Tossa de Mar w 966 roku została przekazana przez hrabiego

Miró opactwu w Ripoll, lecz dopiero w 1187 roku powstał tu pierwszy murowany kościół, na górze Guardí. Miasteczko otoczono murami z siedmioma wieżami, a na najwyższym punkcie w okolicy, na szczycie Mt. Guardí, wzniesiono zamek. Pełnił on swoje funkcje jako siedziba miejscowego opata klasztoru Santa Maria de Ripoll aż do początku XIX wieku. Wtedy to w jego wnętrzach umieszczono młyn wiatrowy, a z czasem przebudowano na latarnię morską (od 1917 roku), która działa do dzisiaj.



FOT. CEZARY BANASIAK



Dzisiejszy wygląd fortyfikacji miejskich i średniowiecznego centrum zwanego Vila Vella pochodzi z końca XIV wieku. W największym rozkwicie miasta w XV wieku w obrębie murów było około 80 domów mieszkalnych, z czego zachowała się znaczna część. Właściwie cały obwód murów dotrwał do naszych czasów w pierwotnym stanie (z niewielkimi przeróbkami w XIV i XVIII wieku) – z trzema cylindrycznymi blankowanymi wieżami i czterema mniejszymi wieżyczkami strażniczymi.

Starówka Vila Vella to przeurocze miejsce z licznymi brukowanymi uliczkami, sklepikami i zaułkami, dobre nie tylko na przechadzkę, ale także na lekcję historii i architektury. Znajduje się tutaj m.in. Muzeum Miejskie, pierwsze w Hiszpanii i jedno z najstarszych muzeów sztuki współczesnej (powstałe w 1935 roku) z dziełami artystów takich jak Marc Chagall, Georges Kars, Georges André Klein czy André Masson. Warto zobaczyć także dawny szpital zbudowany

w średniowieczu, przebudowany w stylu barokowym w XVIII wieku, ufortyfikowany dom z XVI w. Can Ganga, a także pozostałości kościoła romańskiego i zbudowanego w jego miejscu gotyc-

kiego. Już poza obrębem Vila Vella, ale w niedalekiej odległości znajdują się ruiny rzymskiej osady Villa romana dels Ametllers z początku I w. n.e.

Marc Chagall nazwał Tossę de Mar „niebieskim rajem” i trudno mu odmówić racji. Urok miejsca doceniali niejednokrotnie filmowcy. Najstojniejszym nakręconym tu dziełem jest „Pandora i Latający Holender” z 1951 roku, brytyjski dramat z piękną Avą Gardner i Jamesem Masonem w rolach głównych. Tamte chwile upamiętnia pomnik aktorki patrzącej w morze, stojącej na tarasie w pobliżu murów miejskich.

Warto też wspomnieć, że Tossa de Mar była pierwszym miastem hiszpańskim, które ogłosiło całkowity zakaz organizowania walk byków (1989).



 41°43'N 02°56'E

17 km od Blanes, 100 km od Barcelony, 100 km od granicy z Francją.



NAD RZEKĄ ŻYWICIELKĄ

Witold Repetowicz



FOT. SHUTTERSTOCK

Jest coś bardzo afrykańskiego w sylwetce kobiety piorącej nad Nigrem o zmroku.

Wyjeżdżamy z Kantchari, małej miejscowości na drodze do granicy. Ścigamy się z nadchodzącą nocą, bo szlaban zamykają po zmroku. Wokół pustkowia, ogromna przestrzeń pokryta karłowatą roślinnością, nostalgiczny krajobraz Sahelu. To nie zielone Burkina Faso, które opuszczam. Mijamy stojącą samotnie tablicę „Bienvenue au Niger”. Kilka kilometrów dalej autobus przekracza granicę.

MANGER ZNACZY JEŚĆ

– Niejednej, wieloosobowej rodzinie pięćset zachodnioafrykańskich franków, czyli jeden dolar, musi wystarczyć na wyżywienie przez cały dzień, a może nawet dłużej – mówi Amadou, z którym piję piwo w barze przy „Village Chinois”, jednym z hoteli w Niamey. – Ludzie są tutaj bardzo biedni – dodaje.

Widać to na każdym kroku. Niger pod tym względem, niestety, mocno się wyróżnia. Wcześniej, już w Makalondi, autobus obległa

grupa żebrzących dzieciaków, wykonujących charakterystyczny gest dłonią, jakby chciały coś włożyć do ust: – *Manger, manger, monsieur...* – wołały. – *Bon arivee, monsieur, bon arivee...* – *U nas, w Burkina Faso, tego nie ma, u nas dzieci chodzą do szkoły* – rzucił wtedy z pogardą pomocnik kierowcy, odganiając małych żebraków. Kiedy po północy dojechalismy wreszcie do Niamey i ten sam pomocnik pomógł mi znaleźć taksówkę, zwrócił się do mnie tym samym gestem i tymi samymi słowami: *manger, manger...*

FUNDATOR KADAFI

Amadou stać na więcej. Ten trzydziestolatek z plemienia Dżerma jest leśnikiem i właśnie umówił się tu ze swoją dziewczyną. – *Jestem muzułmaninem, ale niepraktykującym, a Niger jest państwem laickim* – stwierdza, sącząc kolejne piwo, gdy pytam go o religię.

W Nigrze są też chrześcijanie. W centrum Niamey znajduje się nawet duża katedra katolicka. Znacznie większy jest jednak Wielki Meczet, wybudowany za pieniądze Kadafiego przez architektów i artystów sprowadzonych



W ŚLUMSACH DZIECI SIĘ NUDZĄ

Gdy dzieciaki zmęczą się nagabywaniem turysty o pieniądze i jedzenie, rozpoczynają walkę o znalezienie się w kadrze zdjęcia.

Podstawą diety mieszkańców są wyroby z mąki oraz kasza, wytwarzane z takich roślin, jak proso, sorgo czy maniok. Ryż to już luksus, nie mówiąc o mięsie. Pół pieczonego kurczaka kosztuje od 1500 do 2000 tamtejszych franków (CFA). Na ulicznym straganie kupiłem kiedyś obiad za niespełna 500 CFA, na który składała się zupa (rozwodniona kasza z jakimś ziarnami), smażone placki i danie główne – owczy łeb, z którego sterczały jeszcze rzęsy nad zastygłymi oczami. Nie dojadłem tego smakołyku, ku ogromnej ucieście dziewczynki, która rzuciła się nań jak na wielki rarytas.

z Maroka. Duże wrażenie robią jego wnętrza utrzymane w marokańskim stylu, pełne przepychu, ale i elegancji, ze ścianami i sufitem wyłożonymi marmurem, stiukiem i geometryczną mozaiką.

– *Kadafi finansował też sieć szkół francusko-islamskich* – mówi mi Hama, dozorca-przewodnik. – *Uczą w nich Libijczycy* – dodaje. Nie chce jednak odpowiedzieć na pytanie o to, jaki stosunek do Kadafiego mają mieszkańcy Nigru. – *Teraz finansuje nas nowy rząd libijski, a ja mam dwie żony i czternaścioro dzieci. Zarabiam 30 tysięcy CFA i jak tu wyżywić rodzinę.* Hama

zaczyna narzekać na swoją sytuację i prosić o... *manger*.

Sieć szkół koranicznych zwanych francusko-islamskimi jest silnie rozbudowana w całym Nigrze. Dzieci przez 7 lat uczą się w nich trzech przedmiotów: francuskiego, arabskiego i Koranu. Znajomość francuskiego, choć to jedyny oficjalny język, nie jest jednak w Nigrze powszechna. Przekonałem się o tym, jadąc do Boubon, małej miejscowości położonej 25 km na północny zachód od Niamey. To w zasadzie ogromna, kilkutysięczna wioska rybaków

Boubon ze względu na swoje położenie przyciąga turystów.

ŻYRAFY PIWNE

Ta wieś leży nad Nigrem, w głębokiej dolinie, wśród nieco pofałdowanego pustkowiawia sawanny. Spokój i dziewiczość tego terenu powodują, iż łatwo tu spotkać hipopotamy. Jest ich bardzo dużo – zanurzających potężne cielska w wodzie, znikających pod nią i znów wypływających. Gdy trwają w bezruchu, trze-

KOLOROWY DZIEŃ TARGOWY

W nigerskich wioskach targi odbywają się raz w tygodniu – w każdej w inny dzień. W Koure jest to poniedziałek.

Senna osada tętni wówczas życiem i wabi kolorami.



i garncarzy z plemienia Dżerma. Znajdują się tutaj dwie szkoły francusko-islamskie, jedna założona przez arabską fundację, a druga należąca do sieci szkół koranicznych utworzonych przez bogatego Benińczyka.

Spotykam dziewczynkę, uczennicę tej szkoły, ale muszę z nią rozmawiać przez tłumacza – młodego chłopaka o imieniu Hassan, który zaoferował się być moim przewodnikiem, oczywiście za odpowiednie *manger*. Modnie ubrany, z walkmanem na szyi, jest jedną z nielicznych osób w wiosce znających francuski i chyba nieźle na tym wychodzi, bo

ba wyteńczyć wzrok, bo z ledwie wynurzonymi grzbietami przypominają głazy. – *Zdarza się, że zaatakują krowy przechodzące przez rzekę, ale nie ludzi* – uspokaja Hassan.

Mijamy wioskę rybacką na jednej z wysepek. Z chat na brzeg wybiega tłum dzieciaków, które na widok białego zaczynają skandować: *l'argent, l'argent, l'argent* („pieniądze”). Zawracamy i przybijamy na przeciwległy brzeg, gdzie kilka kobiet wydobywa glinę z nadrzecznych dołów. Dzieci ładują ją na wóz zaprzęgnięty w osła i wiozą do wioski. Tam garncarze uformują z gliny duże dzbany i inne naczynia, na-

stępnie wsadzą do wykopanych zagłębień, zasypią gałęziami i podpalą. Kiedy tylko ostygną, będzie je można pomalować, a następnie wystawić na sprzedaż podczas środowego targu.

Leśnicy muszą ścigać się z apetytem zwierząt i ciągle sadzić nowe rośliny. Żyrafy, obok hipopotamów, są symbolem Nigru. Ozdabiają na przykład etykiety najpopularniejszego tu piwa:

Bière Niger.

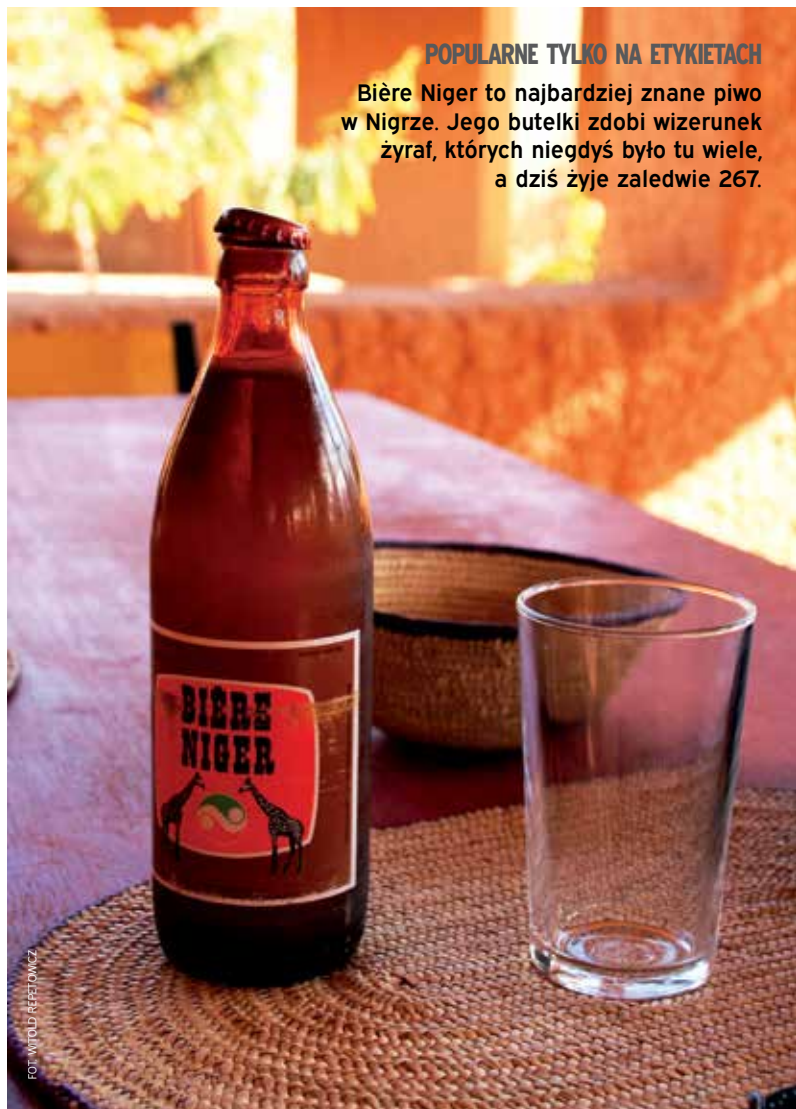
Jadę motocyklem z przewodnikiem i ledwo skręcamy z głównej ścieżki rezerwatu, gdy spośród drzewek wyłania się kilka cętkowanych szuj. Cała rodzinka składa się z dziewięciu osobników: mamy, taty i siódemki młodych. Wpatrują się długo i nie uciekają, można podejść niemal na wyciągnięcie ręki.

ŻYCIE NA BRZEGU

Wracam do Niamey. Gdy byłem tu pierwszy raz sześć lat temu, miasto robiło złe wrażenie. Widziałem slumsy, slumsy i tylko slumsy. Teraz sporo zmieniło się na korzyść, ale tym, co jest tu najpiękniejsze, jest

nadal rzeka Niger. Jest coś magicznego w jej leniwym nurcie, poruszającym się szerokim korytem, wśród licznych wysepek i nadbrzeżnych rozlewisk.

Rzeka jest dla wielu żywicielką. W okolicach mostu JFK łatwo spotkać kilkuletnie dzieci brodzące przy brzegu z wiadrami niemal tak dużymi jak one same. Ich starsi bracia łowią ryby na linkę, zaś ojcowie wyruszają łodziami na nocny połów. Niger to także pralnia i łaźnia. I wszyscy kąpią się tu nago – czy to stolica, czy konserwatywne Boubon.



Koure, miejscowość leżąca 60 km na wschód od Niamey, słynie z tego, iż obok żyje stado żyraf. To endemiczny podgatunek żyrafy zachodnioafrykańskiej, obecny tylko w tym miejscu, a różniący się od swych wschodnioafrykańskich kuzynów kolorem i wielkością cętek. Jest poważnie zagrożony, gdyż tych osobników jest zaledwie 267. Wszystkie są pod opieką pracowników rezerwatu, w przeciwnym razie dawno zginęłyby z głodu. Żyrafa bowiem to straszny żarłok, cały dzień zjada liście akacji, całkowicie ogałając drzewa.

Ciemnieje, choć to nie wieczór. Powietrze nagle brunatnieje, po czym nasila się wiatr, wreszcie pojawia się on, niszczycielski harmattan, łamiący gałęzie drzew, zrywający dachy. W górze wiruje piach z pyłem. Po godzinie wszystko ucicha. W czerwcu jest to równie normalne jak rześiste ulewy, które są jednak przez mieszkańców witane z radością. Oberwanie chmury? Gdy ja szukam schronienia pod niewielkim blaszanym zadaszeniem jakiegoś domku, wylatuje z niego kobieta

autobus, to oddzielali Dżerma od Hausa, i tylko Hausa mieli problemy – opowiada Amadou. – *Ale Songhai i my to jedno* – przekonuje – *są tylko drobne różnice między naszymi językami.*

Berberyjscy Tuaregowie mieszkają na pustyni na północy. Mają swój język, alfabet, starożytną, unikalną kulturę i nie mają swojego państwa. Dlatego właśnie tyle razy się buntowali. Sytuację komplikuje chaos w strukturach władzy Mali i obecność islamistów na północy. Niektórzy boją się, że te problemy mogą objąć

PRZEPAŚĆ KULTUROWA

Zdjęcie zostało zrobione z okna jadącego autobusu. Nie wiadomo, dlaczego widoczny na nim mężczyzna trzyma kobietę na sznurku.



z trójką dzieci i wiadrami. Dzieci rozbierają się i szybko myją pod tym prysznicem. Potem jest chwila na pranie i zmywanie. Szybko, szybko, bo długo nie poleje, trzeba korzystać, a woda z nieba jest czystsza niż z rzeki.

POKOJU I TURYSTÓW

W południowym Nigrze dominującą grupą etniczną są czarni Hausa. Dżerma to ludzie rzeki, ich wioski i miasta ciągną się wzdłuż dorzecza aż do granicy z Mali. Dalej żyją Songhai...

– *Dżerma i Tuaregowie to kuzyni. W czasie rebelii tuareckiej, gdy powstańcy zatrzymywali*

również sąsiednie państwa. W Niamey jednak wszyscy są pewni, że nie grozi im ani pojawienie się zwolenników szariatatu, ani nowa rebelia Tuaregów w Airze.

– *Chcemy pokoju, chcemy turystów* – mówi mi Ibrahim, Tuareg prowadzący agencję turystyczną w Niamey, a właściwie filię agencji z Agadezu, który jest bramą do księżycowych, bazaltowych gór Airu i bezkresnego oceanu piasku, pustyni Tenere.

Do 2007 roku przyjeżdżało tu sporo turystów, głównie z Francji, i działało wiele agencji turystycznych organizujących wyprawy na pustynię. Funkcjonowało też lotnisko międzyna-

rodowe, na którym lądowały czartery z Paryża. Rebelia zahamowała turystykę i lotnisko umarło. Największa tuarecka osada w Airze – miasto Iferouane – zostało zrównane z ziemią. – *Ale to już przeszłość* – zapewnia mnie Ibrahim i pokazuje album z niedawno zorganizowanej pustynnej ekspedycji grupy japońskich turystów. – *Iferouane odbudowaliśmy, chcemy spokoju i chcemy zarabiać pieniądze. A islamistów przepe- dzimy, Niger jest laicki* – podkreśla.

Kilka lat temu tak nie było. Pamiętam, jak kupowałem jedzenie w wiosce i niezbyt rozgarnięty sprzedawca miał problem z obliczeniem, ile powinien mi wydać. Od razu zrobiło się zbiegowisko i ludzie zadbali, aby wydał odpowiednio. Innym razem nie miałem drobnych, więc dzieciak pobiegł z banknotem o dużym nominale na drugi koniec wsi i przyniósł mi resztę co do grosza. Smutne, że to się zmienia.



PRZYSTANEK Z PLATFORMĄ

Ten pojazd jeszcze niedawno jeździł bezdrożami z Niamey do malijskiego Gao, wożąc pasażerów i barany. Dziś autobusy międzynarodowe są lepsze, powstała też droga, ale do Gao już nie można dojechać z powodu wojny w Mali.

Niamey rzeczywiście nie wygląda na ortodoksyjnie religijne. Na każdym kroku można natknąć się na bary serwujące alkohole, i nie są to bary dla białych, których prawie tu nie ma. Ale na prowincji jest nieco inaczej.

POŻEGNANIE Z NIGREM

– *Bieda sprowadza ludzi na złą drogę* – mówi Moussa z recepcji hotelu, kiedy zapowiadam, że jutro wyjeżdżam do Beninu, a autobus odchodzi o 4 rano. – *W nocy jest niebezpiecznie iść przez miasto, dużo bandytów. Musisz nocować na dworcu autobusowym* – radzi.

W północnym i wschodnim Nigrze grają uzbrojone bandy, tyle że, w przeciwieństwie do Mali, nie ma tam chociaż Al-Ka'idy Islamskiego Maghrebu. W Airze z kolei Tuaregowie sami muszą kontrolować pustynię, zapewniając bezpieczeństwo nielicznym wciąż turystom.

Jestem już w Gayi, małym miasteczku przy granicy z Beninem, która przebiega na Nigrze. Przechodzę przez most i spoglądam na rzekę. Jest bardzo płytko. To efekt małych opadów w zeszłym roku. Kraj Niger woła o turystów, a rzeka Niger – o deszcz. ○

BANKNOTY ŚWIATA

Pieniądże są jednym z ważniejszych wynalazków w dziejach ludzkości. Jednym z kierunków rozwoju pieniądza jest banknot. Zaistniał on w Europie ponad 300 lat temu, m.in. za sprawą szwedzkiej kampanii wojennej przeciwko Polsce zwanej „potopem szwedzkim”. Na świecie pierwowzory banknotu można doszukać się w Chinach i Mongolii już pomiędzy VII a IX w.

Dzisiaj pieniądź, choć wypierany coraz częściej przez obrót bezgotówkowy, jest nadal istotnym elementem wymiany towarowej. Dlatego wybierając się nawet w najbardziej odległe zakątki świata, warto wiedzieć, jak wyglądają aktualne banknoty w danym państwie oraz jak rozróżnić te fałszywe.



malezyjski ringgit

Malezyjski ringgit (MYR) to pod względem wartości prawie złotówka (1 MYR = ok. 0,99 PLN). Ringgit dzieli się na 100 sen. W obiegu funkcjonują banknoty 100, 50, 20, 10, 5, 2 oraz 1 ringgit, a także monety: 50, 20, 10 oraz 5 sen.

Niższe nominały 1 i 5 ringgitów (oraz jedna z wersji 50 RM), ponieważ narażone są na szybsze niszczenie, drukowane są na podłożu polimerowym. Wyższe nominały oraz część starszych banknotów niskiego nominału 1 i 5 MYR drukowane są na papierze banknotowym.

Na awersie wszystkich banknotów widnieje postać obecnego władcy kraju, króla Tuanku Abdul Halima, oraz kwiat hibiskusa będący narodowym symbolem Malezji.

Zabezpieczenia to wypukłość w druku wyczuwalna pod opuszką palca (1) przedstawiająca postać władcy kraju, duży nominał cyfrowy, napis BANK NEGARA MALAYSIA oraz oznaczenia dla niewidomych – np. kreski w lewym dolnym rogu awersu.



Wszystkie banknoty mają znak wodny (2), podobną władcy, a niektóre także jasny nominał.



Kolejne zabezpieczenie to recto-verso (3), gdzie dwa różne obrazy umieszczone po przeciwnych stronach banknotu dają kompletny obraz, np. nominału (lewa górna część), rozetki (50RM) lub kwiatu w górnym marginesie nowego polimerowego banknotu 5RM.



Ponadto banknoty od 10 do 100 RM posiadają paski ochronne (4) zatopione w materiale banknotu, widoczne w świetle przechodzącym, a także na powierzchni awersu lub rewersu jako nitki okienkowe.

100 RM posiada pasek z efektem 3D.



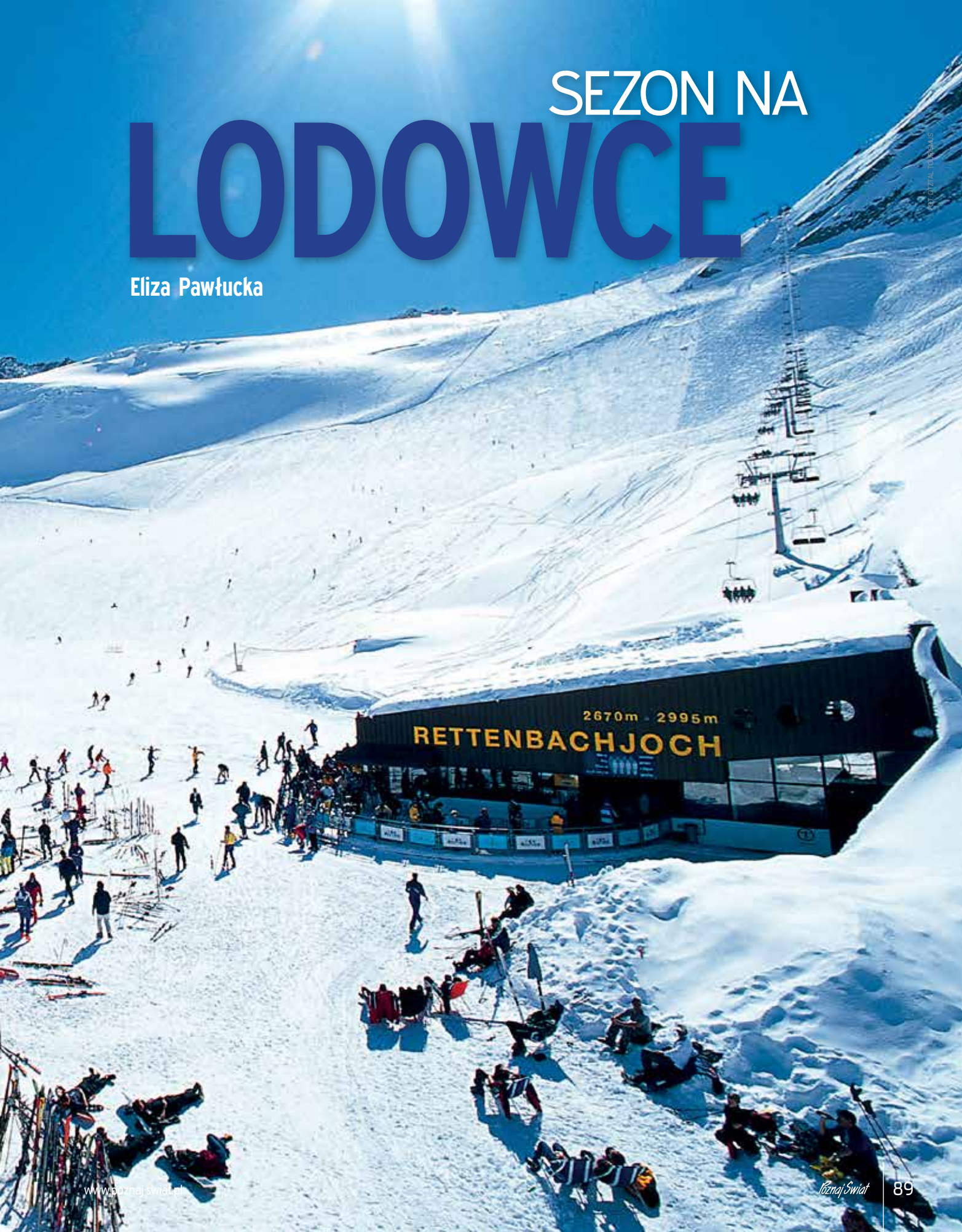
Grzegorz Ćwiek – autor tekstu prowadzi szkolenia z rozpoznawania autentyczności pieniędzy i dokumentów

Kiedy w alpejskich dolinach do życia budzą się krokusy, czas ruszyć na lodowce. W austriackim Tyrolu jest wszystko: snowparki, setki kilometrów tras, najszybsza kolejka świata i najlepsze „après-ski”.



SEZON NA LÓDOWCE

Eliza Pawłucka





BAR KOSMOS?

Nowoczesna konstrukcja ze szkła i metalu to Jochdole – najwyższej położony bar w Austrii (3200 m n.p.m.), na lodowcu Stubai.

Gdyby Stwórca nie wymyślił lodowców, pewnie zrobiliby to za niego narciarze. Tu nigdy nie brak śniegu, a na nartach można jeździć do późnej wiosny. Właśnie trwa pełnia sezonu. Na liście atrakcji znajdziemy najbardziej szalone imprezy w Alpach, od zjazdów z góry na miotle po skoki do basenu w narciarskim ekwipunku.

W słońcu przyjemnie się susuje, zwłaszcza że to pora, kiedy trafiają się tańsze ski-pasy, a hotele chętniej dają upusty. Dodatkowym atutem jest wygodny karnet „White 5”, z któ-

rym można objechać Wielką Piątkę tyrolskich lodowców: Stubai, Hintertux, Sölden, Pitztal i najmłodszy z nich – Kaunertal.

PROSTO DO NIEBA

Jeszcze 40 lat temu suszowanie po lodowcu było ekstrawagancją. Dokładnie wtedy Heinrich Klier, pionier nart, postawił na Stubai pierwsze trzy wyciągi. Nie marzył jeszcze, że wyrosnie tu największy lodowcowy ośrodek Austrii, zwany „Królestwem śniegu” – zaledwie o rzut beretem od Innsbrucku.

Po obu stronach doliny Stubai ciągną się monumentalne łańcuchy górskie, z górującym nad nimi szczytem Zuckerhüttl (3507 m n.p.m.). Po drodze mijamy nieduże miejscowości, takie jak Neustift, Telfes, Fulpmes, Schönberg, Mieders, będące bazą noclegową dla narciarzy. Wreszcie docieramy do celu. Pod hasłem „Lodowiec Stubai” kryje się pięć sąsiadujących ze sobą lodowców, na których mogą wyżyć się narciarze, snowboardziści, poszukiwacze adrenaliny czy miłośnicy muld i jazdy w głębokim śniegu. Christian Gleirscher, wielki fanatyk gór, jeden z najlepszych instruktorów narciarskich w dolinie, radzi jednak trzy-



mać się wytyczonych tras – poza nimi mogą trafić się cyrki i rynnny lodowcowe, sprawiające trudność nawet wprawnym narciarzom.

Lodowiec to sunąca wolno, ogromna masa lodu, która jest jednorodna, dopóki nie przyspieszy swojego ruchu lub nie zmieni kierunku. A wtedy pęka, tworząc szczeliny. I choć wydaje się to nieprawdopodobne, liczące po kilkaset lat lodowce są w ciągłym ruchu. Czy cofają się i wtedy się kurczą, czy posuwają do przodu i rosną – zawsze zsuwają się w dół doliny. Z tego powodu, jak mówi Christian, mocowane w lodzie słupy wyciągów narciarskich porawia się kilka razy w roku.

Z dolnej stacji Mutterbergalm dostajemy się na lodowiec dwoma gondolkami. W początkowym odcinku będą one równoległe, później jedna skręca do Eisgrat (2900 m n.p.m.), druga zaś do Gamsgrat (2620 m n.p.m.). Do wyboru mamy 110 km zjazdów, 25 nowoczesnych kolejek linowych i wyciągów oraz „Moreboards Stubai Zoo” – ulubiony snowpark freeskierów i snowboardzistów z całego świata. Miłą niespodzianką jest nowa, ośmioosobowa kanapa z osłoną przed wiatrem i nowy teren na lodowcu z czarną nartostradą i trasami dla freeriderów.

Mieszkańcy Stubai żartują, że ich wyciągami jedzie się prosto do nieba. Fakt, najwyższy z nich dowozi narciarzy na wysokość 3200 m n.p.m., wprost do kosmicznego Jochdohle ze szkła i metalu – najwyżej położonego baru w Austrii. Warto też odwiedzić platformę wido-

W STUBAJU JAK W RAJU
Na narciarzy czeka tu 110 kilometrów tras, 25 wyciągów i kolejek.



kową Top of Tyrol, skąd roztacza się spektakularny widok na 109 trzysięczników. Nie było jej jeszcze, kiedy w Alpy Sztubajskie zapuścił się słynny podróżnik i geograf Aleksander von Humboldt, dla którego najpiękniejszym szczytem świata stała się niepozorna góra Serles.



ŚWIETLANE WIDOKI

Panorama z platformy widokowej na Sölden: wokół skąpane w słońcu trzytysięczniki, a w dole nartostrady na rozległych lodowcach.

ŚLADAMI PROBOSZCZA

W pobliskiej dolinie Ötztal największy ruch panuje zawsze w Sölden. Jak napisała jedna z brytyjskich gazet: „Prędzej Bank Anglii splajtuję z braku pieniędzy, niż Sölden zamknie wyciągi z braku śniegu”. Jednak najstarsi górale pamiętają, że wszystko zaczęło się w sąsiednim Vent. Wieś rozślawił ksiądz Franz Senn, nazywany proboszczem z lodowca. Sto lat temu z gracją szusował na swoich deskach w obszernej sutannie i kapeluszu, nie przypuszczając, że kiedyś będzie tu taki boom na narty.

Wszystko za sprawą dwóch lodowców połączonych skalnym tunelem, dzięki czemu powstał tu jeden z największych terenów lo-

dowcowych w Austrii. Kiedy na lodowcu Rettenbach hula wiatr i mgła zasłania widoczność, przenosimy się na Tiefenbach – a tam słońce. Łącznie do dyspozycji mamy 34 wyciągi i 150 km dobrze przygotowanych tras.

Sportowym wyzwaniem jest narciarski rajd Big 3-Rallye, prowadzący przez trzytysięczniki: Gaislachkogel, Tiefenbachkogel i Schwarze Schneid. Chcąc mu sprostać, trzeba pokonać na nartach 50 km i 10 tysięcy metrów różnic wysokości. Nagrodą jest niezwykła panorama górską z wiszących nad przepaściami platform widokowych. Dla wygody narciarzy niedawno uruchomiono tu najszybszą kolejkę świata – wywożącą w górę 3600 osób na godzinę, odporną na wiatr i wstrząsy. Na każdej stacji znajdziemy ruchome schody i windy ułatwiające przesiadki. Kosztowało to 40 mln euro i jest największą inwestycją w historii austriackiego narciarstwa.

Co roku do Ötztal ściąga 80 tysięcy polskich narciarzy. Chyba spodobały im się szerokie nartostrady i „Tre Milla”, najwyżej położona austriacka pizzeria. A do tego szalone imprezy na koniec sezonu. Można spróbować



FOT. OTTAL TOURISMUS

przeskoczyć na nartach 50-metrowy basen u stóp lodowca Rettenbach, wygrać konkurs na Królową Plaży, a potem udać się na paradę miłości, podczas której przejedziemy środkiem Sölden ciężarówkami z balonami i głośną muzyką. Jeśli za mało zabawy, czekać będą bary, puby i dyskoteki – tego tu nie brak. Miłośnicy ciepłych kąpielí mogą wybrać się do term w sąsiednim Längenfeld – dojazd bezpłatnym ski busem. W Aqua Dome jest wszystko, czego dusza i ciało zapragną – baseny wewnętrzne, wodospady i kanały jak w Wenecji, którymi wypływamy na zewnątrz, by posiedzieć w gorących solankach pod gwiazdzistym niebem.

JAZDA CAŁY ROK

Eksperti ze Skiresort Service International Team uznali Tux za najlepszy lodowiec świata dla narciarzy. W malowniczej dolinie Zillertal nawet latem widzi się narodowe kadry trenujące na Hintertuxie – jedynym całorocznym terenie narciarskim w Austrii. Trudno uwierzyć, że mimo dosko-

nałych warunków pierwszy wyciąg krzeselkowy zainstalowano tutaj dopiero po drugiej wojnie światowej, w 1949 r. W latach 1920. miejscowość bardziej znana była jako Hintertux Bad, gdzie przyjeżdżało się na kuracje. Lodowiec podchodził wówczas pod samą osadę,

NARTY WODNE

Koniec sezonu umilają szalone imprezy. Można spróbować przeskoczyć na nartach 50-metrowy basen u stóp lodowca Rettenbach.



FOT. TOURISMUS WEGEN TUX-FIVEG WASSER

SKI ZAGŁĘBIE

Hintertux to najbardziej popularny lodowiec w Europie.

dzis leży 500 metrów wyżej.

Kolejką „Gletscherbus 1” przenosimy się z Tuxa do stacji kolejki Sommerbergbahn,



BIAŁE PLAŻE HINTERTUXU

Na nartach można tutaj jeździć cały rok, a w przerwach wylegiwać się na leżakach.

a dalej „Gletscherbus 2” do Tuxer Fernerhaus (2600 m n.p.m.). Stąd nowa, dziesięcioosobowa kolej Gefrorene Wand w pięć minut zabiera nas na ponad 3000 m n.p.m. Przy dobrej pogodzie można podziwiać najwyższy szczyt Austrii – Grossglockner oraz Dolomity i Zugspitze. Tux wraz z sąsiednim regionem Finkenberg

ma w sumie 245 km tras czynnych do maja. Najśłynniejsza z nich to Harakiri, gdzie nachylenie stoku osiąga momentami 78 procent.

W porównaniu z innymi lodowcami Tux nie uchodzi za łatwy. Nie znajdziemy tu dużych, płaskich przestrzeni jak na Stubai. Często widzi się narciarskie wywrotki, co – jak mówi miejscowy instruktor, Jacek Szelałowski – wywołane jest złudzeniem, że stoi się w miejscu, podczas gdy narty wciąż niosą. To typowe na dużych wysokościach, przy niedoborach tlenu.

Kiedy znużą się narty, warto odwiedzić Naturalny Pałac Lodowcy, 200 metrów poniżej szczytu lodowca. W jego wąskiej szczelinie, do której spuszcza się po ruchomych drabinkach (niech żyje sprawność!), oglądamy olbrzymie sople lodowe i zamrożone wodospady. Cuda kapryśnej, lodowcowej natury.

WYSPA FREERIDERÓW

Choć doszusował do „Wielkiej Piątki” ostatni, Kaunertal już stał się mekką młodych snowboardzistów, chwalaćcych świetny snowpark i luz na wyciągach. Szerokie trasy z naturalnym śniegiem mogą jednak skusić każdego, niezależnie od stylu jazdy. Z platformy widokowej u szczytu Karlesspitze (3100 m n.p.m.) widać miejsce, gdzie stykają się granice trzech państw: Austrii, Włoch i Szwajcarii.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego to również ulubione miejsce freeriderów, dla których przygotowano 30 km tras wycieczkowych na okolicznych trzytysięcznikach. Dużą uwagę zwraca się na bezpieczeństwo jazdy: „Check your line” – takie napisy przy trasach każą miłośnikom jazdy poza szlakami mieć się na baczności.

Kaunertal nie jest gigantem wśród lodowców. Ma 38 km tras narciarskich, w tym 12 km zjazdów po firmie, prowadzących do sąsiedniej doliny Langtaufere. Niedaleko leży Fendels – 16 km tras trochę poprawia statystykę. Przez cały sezon dzieci do 10. roku życia, pod opieką osoby dorosłej, mogą jeździć gratis. Wszystkich zaś rozpieszczają restauracje – po drodze na szczyt lodowca doliczyliśmy się aż trzech.

Wiosna ma być tu gorąca. W połowie kwietnia tradycyjnie już rusza „Spring Classics Kaunertal”, impreza snowboardowa z licznymi konkursami i zabawami na śniegu – finał w maju.

MŁODYM BYĆ

Kaunertal, najmłodszy wśród tyrolskich ośrodków, nie jest lodowcowym gigantem, ale przyciąga coraz więcej snowboardzistów i freeriderów szerokimi, niezatłoczonymi stokami.

EKSPRESOWO NA ESPRESSO

Nie znajdziemy tu tylu tras do jazdy jak w Sölden, ale za to będziemy mogli poszusować na najwyższym położonym lodowcu Tyrolu. Pitztal ma też najwyższą i najnowocześniejszą kolejkę w Austrii – Wildspitzbahn, fascynującą swoim niezwykle kształtem, która z poziomu 2800 m n.p.m. przeniesie nas na 3440 w ciągu sześciu minut. Miłym zaskoczeniem jest to, że do gondoli można zabrać ze sobą narty, co ułatwia wsiadanie i wysiadanie. Na górze zaś od widoków aż kręci się w głowie. Wokół słonecznego tarasu zawieszono nad skałami ciągną się szczyty górskie. Można delektować się nimi również przy espresso w kawiarni „3.440”.

Do wyboru jest 68 km tras w ponad 40 różnych kombinacjach. Dla urozmaicenia można zrobić wypad na stoki Riffelsee lub

Hochzeigera – zbrocza z dobrym śniegiem, bezdrzewnymi trasami i przytulnymi schroniskami. Wyzwaniem zaś dla wszystkich będzie zdobycie Wildspitze, najwyższego szczytu Tyrolu (3768 m n.p.m.). Można tam dotrzeć w czasie przyjemnej całodziennego wycieczki.

**PITZTAL CHCE BYĆ „NAJ”**

Szusuje się tutaj na najwyższym lodowcu Tyrolu, jeździ najwyżej kolejką i pije kawę w najwyższej położonej kawiarni.

A potem rozkoszować się wspaniałym zjazdem do Mandarfen, z miłym uczuciem, że udało się zaliczyć Wielką Piątkę na pięć! ○



Aleksandra Lech
ekspert ubezpieczeń
podróżnych
w Ergo Hestia

Aby zwiększyć bezpieczeństwo podczas zimowego wyjazdu, warto o nie zadbać jeszcze przed wyborem się w góry. Wiele wypadków ma miejsce w drodze na zimowy wypoczynek.

• Odpowiednie przygotowanie pojazdu

Opory zimowe są podstawą, a w górach bardzo przydatne są łańcuchy na koła umożliwiające przejazd po zaśnieżonych drogach. Warto także zwrócić uwagę na takie elementy wyposażenia jak koło zapasowe lub zestaw naprawczy, gaśnica, trójkąt ostrzegawczy, apteczka, koc termiczny i kamizelka odbłaskowa. Wiele kierowców zapomina o kablach rozruchowych, które mogą być bardzo pomocne, gdy akumulator okaże się za słaby.

• Technika jazdy w warunkach zimowych

Górskie drogi nie są często odśnieżane, dlatego należy znacznie zmniejszyć prędkość w ciasnych zakrętach. Ze wzniesienia nie należy zjeżdżać na luzie, a w przypadku stromych zjazdów zdejść nogę z gazu i hamować silnikiem. Jeśli auto nie zwalnia, można zredukować bieg i użyć hamulców, jednak delikatnie, aby nie zablokować kół.

• Bezpieczeństwo na stoku

Przepisy stanowią, iż w kasku powinny jeździć narciarze do szesnastego roku życia, mimo to warto wyposażać się w ten element dla własnego bezpieczeństwa. Wśród sprzętu zwiększającego szanse na przeżycie pod lawiną znajduje się np. detektor lawinowy. Urządzenie to umożliwia ratownikom namierzenie osoby pod lawiniskiem. Z kolei plecak z systemem ABS jest wyposażony w specjalne komory napełniające się sprężonym gazem. Sprawia on, że osoba mająca go na sobie „wypłytnie” na wierzch lawiny. Istnieją także urządzenia umożliwiające oddychanie pod śniegiem, ale nic nie zastąpi zdrowego rozsądku.

MIĘDZY NIEBEM A MORZEM

Janusz Kafarski

Ten leżący na Morzu Norweskim archipelag 18 wysp liczy 49 tys. mieszkańców. Owiec jest niemal dwukrotnie tyle co ludzi, za to prawie wcale nie ma drzew. Dziwi też, że do osad zamieszkałych zaledwie przez kilka osób doprowadzono asfaltowe drogi i wykuto skalne tunele.

WYSPA JAK FLET

Kalsoy to dziewiąta co do wielkości wyspa archipelagu. Ze względu na wąski kształt nazywana jest Fletem. Są tu tylko niewielkie wioski połączone szosą, która prowadzi przez 5 tuneli o łącznej długości 5416 m. Na zdjęciu kotlina i osada Trøllanes, którą na stałe zamieszkuje 19 osób. Skalna ściana odgradza dolinę od reszty wyspy. W tle, po lewej stronie zdjęcia, widać przylądek Kunoyarnakkur. Ma on wysokość 819 m, co czyni go najwyższym przylądkiem w Europie i jednym z najwyższych na świecie.



ŚCIANA NIEWOLNIKÓW

Jedną z krajobrazowych atrakcji wyspy Vagar jest 148-metrowy klif Trælanípan (Ściana Niewolników). To miejsce, z którego w czasach wikingów zrucano niezdolnych do pracy irlandzkich niewolników.



SPACER NAD WISZĄCĄ SKAŁĄ

Ścieżka wzdłuż jeziora Sørvágsvatn należy do łatwiejszych szlaków wędrownych wyspy Vagar. Prowadzi do wąskiego przesmyku między jeziorem a otwartym oceanem znajdującym się 30 metrów niżej.



PALEC WIEDZMY

Skała, przez miejscowych nazywana także Palcem Trolla, strzeże wejścia do fiordu na wschód od Sandvagar. Według miejscowej legendy w 1844 roku na szczyt skalnej iglicy wdrapał się młody człowiek. Chciał pomachać żeglującemu poniżej księciu Fryderykowi odwiedzającemu archipelag. Po zejściu zorientował się, że na szczycie zostawił rękawicę. Wdrapał się więc ponownie, jednak schodząc, stracił równowagę i zginął.



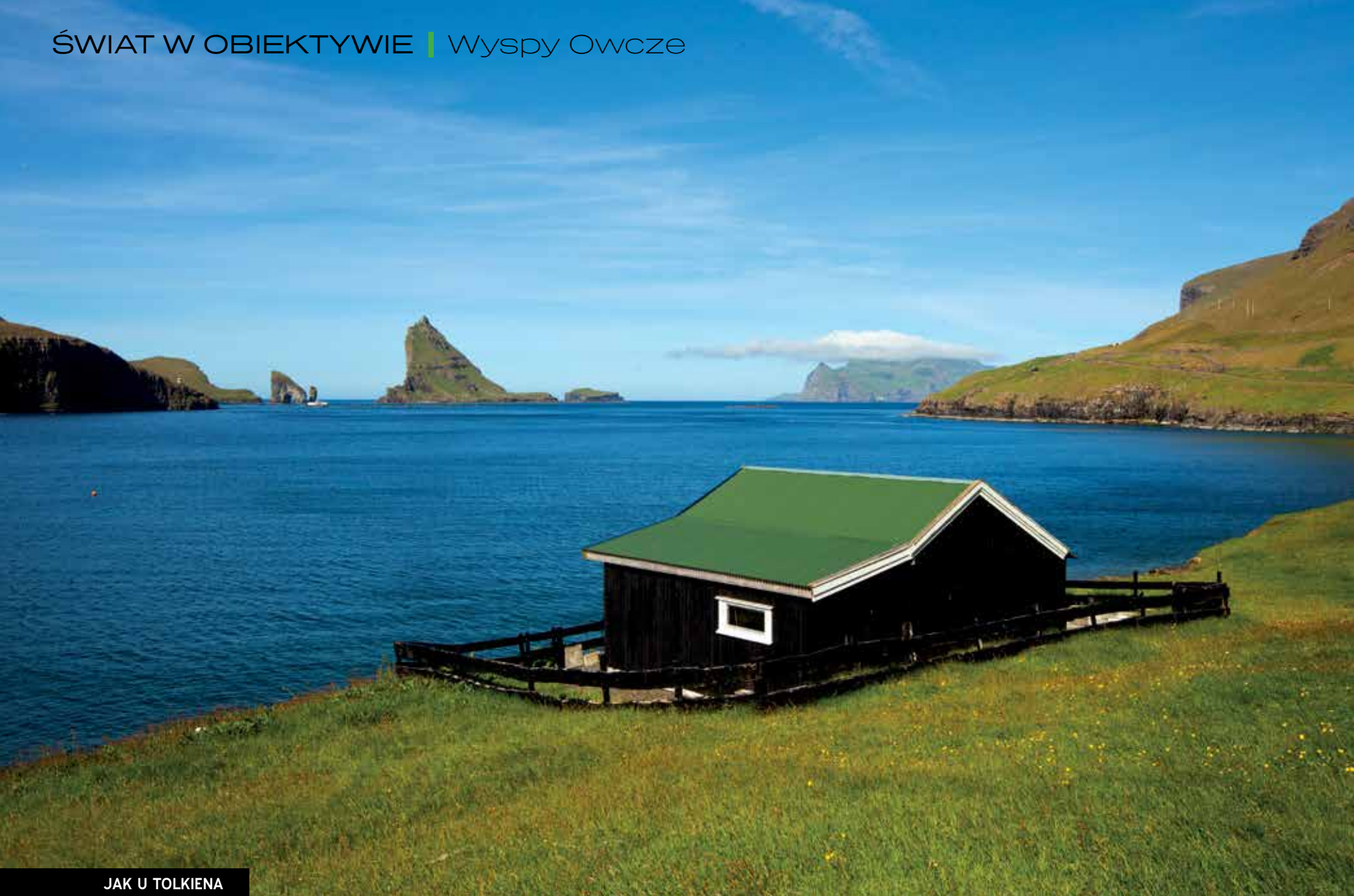
NAD RZEKĄ DUŻĄ

Wioska Kvivik na wyspie Streymoy leży w dolnych partiach wzniesienia Elgisfjall. Przez osadę przepływa rzeka Stóra (Duża), dzieląc ją na pół. W 1942 roku odkryto tu pozostałości długiego domu wikingów, datowane na X-XI wiek. Wydobyte w trakcie wykopalisk narzędzia można zobaczyć w Muzeum Narodowym w Thorshavn, stolicy archipelagu.



POD ORLIM GNIAZDEM

Gasadalur to urokliwie położona wieś w północno-zachodniej części wyspy Vagar, zamieszkiwana przez czternastu stałych mieszkańców. Nad kotliną, w której ulokowana jest osada, góruje najwyższy na wyspie szczyt Arnafjall (Orla Góra – 722 m n.p.m.), a z kotliny spływa do oceanu wodospad Gasadalur. Dzięki wybudowanemu w górach tunelowi od 2004 roku wioska dostępna jest przez cały rok.



JAK U TOLKIENA

To z wyspy Vagar rozpościera się jedna z najbardziej znanych i najczęściej fotografowanych panoram archipelagu. Z wód fiordu Sørvágsfjørður wynurzają się skalne wysepki o nazwach jak z „Władcy Pierścieni”: Drangarnir, Tindhólmur, Gasholmur i wysunięta najbardziej na zachód wyspa archipelagu – Mykines.



PRZEDOSTATNI ODPOCZYNEK

Widok na położoną 350 metrów niżej dolinę i wioskę Gasadalur. Zdjęcie zrobiono w miejscu zwanym Liksteinur, co można przetłumaczyć jako „kamień martwego ciała”. W Gasadalur nie chowano zmarłych, pogrzeby odbywały się na cmentarzu w Bøur. Zmęczeni dźwiganiem ciał żałobnicy zatrzymywali się na odpoczynek właśnie w tym miejscu.



Pod koniec lipca 1965 roku z inicjatywy Bronisława Siadka, członka zespołu redagującego „Poznaj Świat”, w pierwszy powojenny rejs do Ameryki Południowej wyruszył jacht „Śmiały”, którym dowodził kpt. Bolesław Kowalski.

— DO ŚMIAŁYCH NALEŻY ŚWIAT

Wyprowa trwała 459 dni, prowadziła przez trzy morza i dwa oceany. Jej uczestnicy odwiedzili 31 portów i pokonali blisko 23 tys. mil morskich. Patronat nad nią objęło Polskie Towarzystwo Geograficzne. Od października tegoż roku na łamach magazynu ukazywały się relacje specjalnego wysłannika pisma bogato ilustrowane zdjęciami. Pierwsza nadeszła z portu Santa Cruz na Teneryfie. Część załogi zamieniła się tam z żeglarzy w alpinistów i wspięła na Pico de Teide, najwyższy szczyt Wysp Kanaryjskich. Następna korespondencja została nadana z Wysp Zielonego Przylądka. Po drodze do Rio de Janeiro jacht przez dwa dni krążył wokół niezamieszkanego archipelagu należących do Brazylii wysepek, noszących nazwę Skał św. Pawła. Przez ten czas wylądowali na nich wszyscy członkowie załogi, którzy po kolei przeprowalali się na niegościnnie łódź bączkiem, czyli niewielką płytką łodzią wiosłową, służącą do komunikacji

z lądem, do którego jacht nie może dobić, a która w razie potrzeby może też pełnić funkcję szalupy ratunkowej.

Skały te dla pionierów żegluga przez Atlantyk stanowiły groźną przeszkodę nawigacyjną. Jako pierwszy dostrzegł je, jako sterczące z toni morskiej zwalisko kamieni pobielonych guanem ptaków morskich, stojący na „oku” kucharz wyprawy Krzysztof Baranowski, który później, jako drugi Polak (po Leonardzie Telidze), samotnie opłynął Ziemię, za co wyróżniony został wysokim odznaczeniem państwowym. U brzegów Skał św. Pawła nagrodzony został przez kolegów jedynie butelką miodu „Klasztornego”, którą z nimi sprawiedliwie się podzielili.

Jak kapitan został kucharzem
Tylko przypadek sprawił, że Krzysztof Baranowski, który na krótko przed tym rejsem zdobył uprawnienia kapitana morskiej żegluga jachtowej, dostał się na wyprawę „Śmiałego”. W takim cha-

rakterze w dalekich wyprawach jeszcze nie uczestniczył, ale miał kwalifikacje inżyniera, które dawały mu nadzieję, że zdoła się zaciągnąć w skład załogi. Wyprawa była już jednak całkowicie skompletowana. Wprosił się zatem jako dziennikarz w krótki rejs próbny z Trzebieży do Świnoujścia. Kucharz jachtu, którego nazwisko później w swojej książce „Kapitan Kuk” litościwie pominął, po wyjściu z portu wydał dla załogi pierwszy obiad, po czym spokojnie siadł w mesie obok reszty kolegów, wyraźnie zadowolony ze swej sztuki kulinarnej. Naruszył w ten sposób morską etykietę. Kapitan Kowalski spiorunował go wzrokiem i gestem ręki skierował do kambuza. W Świnoujściu już nie mieli kuka, bo się spakował i odszedł. Kapitan „Śmiałego” rzekł wówczas do Baranowskiego: „Chcesz koniecznie popłynąć, to cię zamustruję, ale tylko jako kucharza”. W ten sposób Krzysztof rozpoczął swą pierwszą wielką morską przygodę.

Śladami Darwina

Po przejściu Atlantyku obszerne sprawozdanie dla „Poznaj Świat”, omawiające pierwszą część rejsu, przysłał z Buenos Aires kpt. Bolesław Kowalski, który podkreślił, że w dwa dni po opuszczeniu Skał św. Pawła „Śmiały” jako drugi jacht w historii naszego żeglarstwa przeszedł

Skały św. Pawła stanowią wierzchołek ogromnej góry podwodnej, wypiętrzonej ponad poziom morza przez wybuch wulkanu. Świadczyły o tym ślady lawy. Być może Polacy wędrowali po niewidocznych już odciskach stóp Darwina, rozmytych przez morskie sztormy i tropikalne burze.

kontynentu opisali w książkach inni jej uczestnicy. Jerzy Knabe (kierownik techniczny, specjalista podwodnego nurkowania z aparatami tlenowymi i powietrznymi) opublikował w 1967 r. relację zatytułowaną „Śmiałym dookoła kontynentu”, a Tomasz Romer (lekarz wyprawy) jeszcze w czasie jej trwania



równik. Pierwszym żaglowcem, który dokonał tego pod biało-czerwona banderą, był przed wojną „Dar Pomorza”.

Do relacji kapitana dołączył swą kolejną korespondencję Bronisław Siadek, który przypomniał, że w poprzednim stuleciu odwiedziły to miejsce dwie ekspedycje naukowe. W lutym 1832 roku, w czasie słynnej wyprawy dookoła świata na jachcie „Beagle”, wylądował na nich Karol Darwin, a w 1873 roku wysiadła tu na ląd ekipa naukowa parowej korwety angielskiej HMS „Challenger” w czasie niemiłej sławnej ekspedycji oceanograficznej dookoła ziemskiego globu. Dopiero wtedy naniesiono je dokładnie na mapy. W 1942 roku stwierdzono, że

Nasi żeglarze obserwowali na jednej z głównych wysepek archipelagu życie głuptaków i krabów oraz pobrali próbki geologiczne skał dla Muzeum Ziemi w Warszawie, rejs miał bowiem w założeniu zadania badawcze. Bronisław Siadek pisał: „Pracowaliśmy po 16 godzin na dobę”. Korespondencję kończył słowami: „Odpływam [kruchym bączkiem] na jacht z uczuciem niedosytu. Wiem, że nie wrócę tu nigdy”. Potem była Cieśnina Magellana, kanały Patagonii, zachodnie brzegi Ameryki Południowej oraz powrót na Atlantyk przez Kanał Panamski i kurs do domu.

Oprócz Krzysztofa Baranowskiego wyprawę „Śmiałego” dookoła tego

wydał w popularnej serii „Miniatury Morskie” broszurkę „Śmiałym do Rio”.

Cztery żony i bomba atomowa
Jerzy Knabe, który w 1953 r. ukończył Politechnikę Warszawską, w 1968 r. dopełnił wykształcenie studiami dziennikarskimi na Uniwersytecie Warszawskim. Podczas swych wypraw oceanicznych pracował jako korespondent wielu gazet, radia i Telewizji Polskiej. W 1970 r. zakotwiczył na stałe w Londynie, gdzie założył Polski Yacht Klub. Został też zagranicznym korespondentem miesięcznika „Żagle”. Przed wyprawą „Śmiałego” brał udział w latach 1962/63

w lądowej wyprawie „Karawana Przyjaźni przez Afrykę”, zorganizowanej przez międzynarodowe stowarzyszenie „Esperanto Geographical Society”. W „Poznaj Świat” opisał swój pobyt wśród somalijskich koczowników.

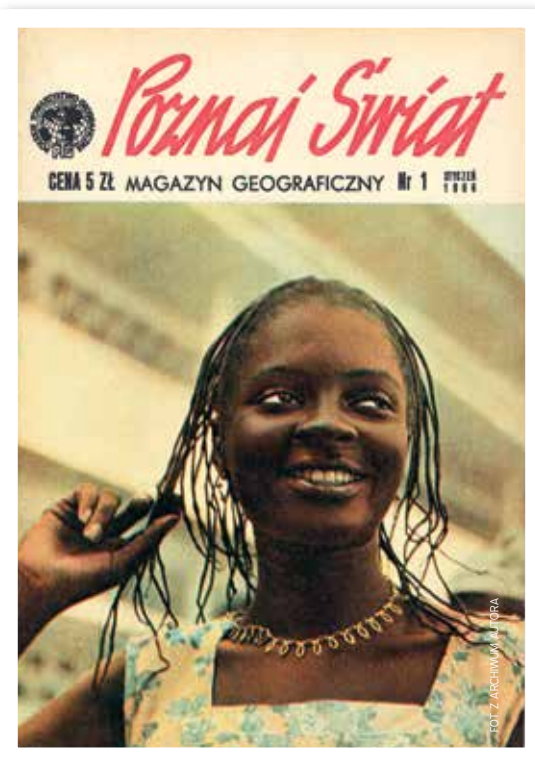
Największe wrażenie wywarła na nim rozmowa z komendantem policji w Dusa Mareb, który wyjaśnił mu, dlaczego somalijski koczownik za najlepszą uznał religię Mahometa. Pozwala mu bowiem mieć cztery żony, z których jedna powinna pilnować jego stada wielbłądów, druga kóz, trzecia owiec, a czwarta krów. Każde z tych stad wymaga innego środowiska. Wielbłądom odpowiada suchy busz, kozom i owcom niskie zielone pastwiska, krowy potrzebują sąsiedztwa wody. Podobnie jak przed tysiącami lat. Tym ciekawsza była pointa tej rozmowy. Komendant zakończył ją ubolewaniem, że Somalia nie posiada bomby atomowej. Przy jej pomocy zrobiłaby porządek ze wszystkimi sąsiadami. Francji odebrałaby Dżibuti, Kenii Prowincję Północno-Wschodnią, a Etiopii Ogaden. Pierwszą bombę zrzuciłby na pałac cesarza Hajle Sellasjego w Addis Abebie.

Po dziewięciu miesiącach podróży samochodami esperancka „Karawana Przyjaźni przez Afrykę” dotarła do Tanzanii. W Dar es Salaam, w dużej zatoce otoczonej palmami kokosowymi, powitała ją... polska bandera, powiewająca na rufie statku PLO „Ojców”. Konkurencja nie przebierała w środkach, aby nas stamtąd wykurzyć. Miejscową prasę obiegły informacje, że pierwszy polski statek przywiózł bibułę komunistyczną, a na następnych przybędą uzbrojeni po zęby dywersanci. Po skrupulatnej rewizji zmieniono ton. Bliższe poznanie wyszło obu stronom na korzyść. Z jednym sobie tylko Afrykanie nie potrafili poradzić. Nazwę statku wymawiali z angielska „Oczka”. My też mieliśmy swoje pretensje. Jerzy Knabe został okradziony przez któregoś z dołkerów z zegarka, o czym powiadomił policję. Po kilku dniach wezwany został do komisariatu. W „Poznaj Świat” tak to opisał: „Poszedłem pewien, że chodzi o rozpoznanie skradzionych przedmiotów. Jakież było moje zdziwienie, gdy

prowadzący śledztwo urzędnik, przejrząwszy spisany poprzednio protokół, zaapelował do mnie o podanie policji nazwiska i adresu złoczyńcy”.

Blżej czytelników

Współpraca geografów z dziennikarzami oraz z ludźmi innych zawodów, podróżującymi po świecie, zaowocowała wprowadzeniem nowej tematyki na łamy pisma, a także nowego, bardziej przystępnego języka, dalekiego od drętwiej mowy, jaką posługiwała się wtedy większość prasy polskiej. Dbał o to szczególnie wspomniany już wcześniej Edward Karłowicz, który do pierwszej edycji „Poznaj Świat”, zawieszanej w 1951 roku, wniósł wiele krytycznych



uwag. Dzięki niemu po wznowieniu pisma wprowadzono na jego łamy wiele nowych, bogato ilustrowanych rubryk, w tym rozbudowany dział „Geografia na znaczkach pocztowych” (oraz na pocztówkach, które zaczęli nadsyłać czytelnicy ze swoich podróży), a także działy „Przez lądy i morza”, „Świat w liczbach”, „Nowe książki” (geograficzne i podróżnicze), „Aktualności geograficzne w jednym zdaniu”, „Słownik geograficz-

ny” oraz „Zagadki geograficzne”. Dzięki temu pismo zaczęli czytać filateliści (było ich wtedy w Polsce kilkaset tysięcy), studenci, młodzież szkolna, a podczas wyprawy „Śmiałego” i po niej, żeglarze, do których wkrótce dołączyli alpinisci. Przed wyprawą „Śmiałego” przydział papieru umożliwił drukowanie 70 tys. egzemplarzy. Po powrocie z wyprawy dookoła Ameryki Południowej Bronisław Siadek, jedna z postaci najbardziej zasłużonych dla pisma, udał się w towarzystwie kapitana Kowalskiego do wiceprezesa Najwyższej Izby Kontroli, aby przekonać go do zwiększenia przydziału papieru umożliwiającego drukowanie 120 tys. egzemplarzy. Ponieważ była to pierwsza polska powojenna wyprawa na taką skalę, wsparły ten postulat czelowe stołeczne dzienniki piórami Bronisława Siadka i Krzysztofa Baranowskiego oraz wiele innych gazet, które odpowiednio sprawę nagłośniły. Również wydawca (Polskie Wydawnictwo Naukowe) był tym żywo zainteresowany, gdyż pismo przynosiło mu zysk, pozwalający zainwestować w dalsze wyjazdy zagraniczne i krajowe jego redaktorów i współpracowników.

Pękające granice

Sprzyjała temu nowa aura polityczna, która stworzyła się w kraju po śmierci Bolesława Bieruta w marcu 1956 roku. W czerwcu tego samego roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przekazało wydawanie paszportów zagranicznych w ręce Milicji Obywatelskiej. Niemal jednocześnie podpisano z Czechosłowacją konwencję turystyczną, umożliwiającą zwiedzanie przygranicznych powiatów słowackich Tatr obywatelom polskim na podstawie okazania dowodów osobistych. W 1961 r. otwarto podobny szlak turystyczny w Karkonoszach, który nazwano pompatycznie „Drogą Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej”. Następnie zaczęły się wyjazdy urlopowe na Węgry, do Rumunii i Bułgarii, wreszcie do Jugosławii. Walory krajobrazowe i turystyczne wszystkich tych krajów opisał wcześniej „Poznaj Świat”. I do tej sprawy warto będzie jeszcze wrócić. ◉

Elektronika podróżna

W obecnych czasach elektronika jest obecna w naszym życiu na każdym kroku. Praktycznie w każdej formie podróżowania używamy elektronicznych przedmiotów. Kamera, aparat, telefon satelitarny, ładowarka solarna, nowoczesna czołówka czy wreszcie pancerny laptop. W każdych warunkach i w każdej szerokości geograficznej dzięki obecnej technice możemy zbierać dane, łączyć się ze światem.

PORĘCZNA I WIELOFUNKCYJNA BENQ M33

To „kieszonkowa” kamera oferująca wiele innowacyjnych funkcji i rozwiązań. Wprowadzono miłe dla oka i dłoni zaokrąglenia wykonane ze stopu aluminium w połączeniu z tworzywem sztucznym. Dzięki temu kamera jest ładna i wygodna w użytkowaniu, a także trwała i odporna na uszkodzenia. BenQ M33 ma 10-krotny zoom optyczny i aż 100-krotny cyfrowy. Wygodny w użyciu 3-calowy, dotykowy wyświetlacz LCD kamery pozwala na uchwycenie poszczególnych klatek filmu w trybie przeglądania i zapisanie ich jako osobne zdjęcia bezpośrednio w pamięci kamery. Wbudowany reflektor LED oraz duża czułość (szybkość migawki w trybie nocnym: 1/2000 – 2s) pozwalają na rejestrację filmów przy całkowitym zaciemnieniu – w podczerwieni. Kolejną innowacyjną funkcją jest Move Detection, która zapewnia rozpoczęcie rejestrowania filmu w momencie wykrycia ruchu obiektów. BenQ M33 umożliwia rejestrację obrazu wideo w pełnym standardzie Full HD 1080p, HD Ready do 720p.



Cena: ok. 800 zł
www.benq.com.pl

WYJĄTKOWA OCHRONA G-FORM

W celu zminimalizowania skutków upadku naszych telefonów komórkowych firma G-Form wyprodukowała etui X-Protect. Te cienkie i super lekkie obudowy działają jak tarcza ochronna wtedy, gdy telefon najbardziej potrzebuje ochrony – błyskawicznie utwardzają się w chwili uderzenia, pochłaniając ponad 90% energii uderzenia i natychmiast stają się z powrotem elastyczne. Jest to możliwe dzięki technologii ochrony reaktywnej RPT (Reactive Protection Technology), łączącej cechy materiału PORON® XRD oraz specjalistycznych materiałów i technologii opracowanych przez firmę G-Form w USA. Etui do telefonów iPhone® 4/4S dostępne jest w dwóch wersjach i 10 kolorach. Dostępne są również obudowy dla innych modeli telefonów, tabletek i laptopów.

Cena: ok. 100 zł
www.gformpolska.pl



Cena: ok. 660 zł
www.powertraveller.com

ENERGIA W ZASIĘGU REKI POWERTRAVELLER POWERMONKEY EXTREME

Kompaktowy i lekki zestaw dla podróżników i sportowców. Przyda się wszędzie tam, gdzie nie ma dostępu do elektryczności. Składa się z panelu słonecznego i akumulatora. Urządzenie jest zdolne do ładowania większości urządzeń 5V, w tym Apple, Garmin i standardowych telefonów komórkowych (w zestawie 8 przydatnych końcówek). Idealny dla entuzjastów przygody.



ELEGANCKI I WYTRZYMAŁY
SONY XPERIA™ Z

To jeden z najlepszych smartfonów dostępnych obecnie na rynku. Wyświetlacz Reality Display Full HD o przekątnej 5 cali z technologią Mobile Bravia® Engine 2 gwarantuje niezwykle jasny i wyraźny obraz. Funkcje One-touch pozwalają łatwo i szybko połączyć się z innymi urządzeniami. Model ten jest odporny na wodę i kurz (normy IP55 i IP57). Wyświetlacz zrobiony jest z hartowanego szkła. Dzięki funkcji STAMINA czas działania baterii wydłuża się w trybie czuwania co najmniej czterokrotnie.



Cena: ok. 2000 zł
www.sonymobile.com

PROSTA I LEKKA
VARTA LED
SPORTS HEAD LIGHT

Cena: ok. 90 zł
www.varta-consumer.pl

To najlżejsza ze wszystkich latarek czołowych niemieckiego producenta, doskonale sprawdzająca się podczas uprawiania sportu. Ma solidną, odporną na wstrząsy konstrukcję, nie krępuje ruchów i zapewnia dobrą widoczność po zmroku. Latarka wyposażona została w wyjątkowo wydajną diodę o mocy 1 wata, która zapewnia światło o jasności 80 lumenów. Urządzenie świeci w trzech trybach: 100% mocy, 50% mocy w trybie elektrooszczędnym oraz w wysokooszczędnym trybie sygnałowym. W pierwszym, mocniejszym trybie zasięg latarki to nawet 90 metrów. Z kolei tryb energooszczędny pozwala na 16 godzin nieprzerwanej pracy na jednym komplecie baterii (dane dla baterii VARTA High Energy AAA). Urządzenie waży zaledwie 58 g, dzięki temu jego ciężar jest prawie nieodczuwalny. Wygodę użytkowania latarki zapewnia obrotowa nasadka soczewek, ułatwiająca dostosowanie kąta padania światła, zarówno przy odległych, jak i przy bliskich obiektach.

Cena: ok. 2000 zł
www.escort.com.pl



Cena: ok. 535 zł
www.petzl.pl

INTELIGENTNE ŚWIATŁO
PETZL NAO

Pierwsza latarka czołowa PETZL z technologią REACTIVE LIGHTING. Latarka z akumulatorem NAO, dzięki czujnikowi pomiaru światła, automatycznie i natychmiastowo dostosowuje moc świecenia dwóch wydajnych diod LED do potrzeb użytkownika. System ten zwiększa komfort, zmniejszając liczbę manipulacji do minimum oraz wydłuża czas świecenia dzięki zoptymalizowanemu zużyciu akumulatora. Personalizacja ustawień – OS by PETZL, ładowanie przez USB. Moc do 355 lumenów, zasięg do 108 m, czas pracy: ok. 8 h.

ŁĄCZNOŚĆ TO PODSTAWA
GLOBALSTAR GSP-1700

To najmniejszy i najlżejszy trójsystemowy przenośny telefon satelitarny. Umożliwia połączenia telefoniczne i transfer danych tam, gdzie tradycyjna komunikacja nie zawsze działa. Oferuje znakomitą jakość połączeń bez echa i pogłosu. Telefon można wyposażać w szereg akcesoriów dodatkowych, jak zestawy głośnomówiące z antenami zewnętrznymi będące idealnym rozwiązaniem dla osób często podróżujących samochodem lub jachtem. Urządzenie zapewnia łączność w trzech systemach: Globalstar, CDMA i AMPS, używanych w Rosji, Chinach, Korei Płd. i obu Amerykach. Pracując w systemie telefonii satelitarnej Globalstar, oferuje atrakcyjne stawki za minutę połączenia na telefony komórkowe i stacjonarne w strefie HOME ZONE (Europa, Afryka Płn. i USA).

INTELIWENTNA NAWIGACJA SAMOCHODOWA GOCLEVER NAVIO 505TMC

Czasy, kiedy tkwiłmy w korkach spowodowanych wypadkami, robotami drogowymi i innymi utrudnieniami ruchu, powoli dobiegają końca. Wszystko za sprawą inteligentnych systemów, które w czasie rzeczywistym informują o tworzących się zatorach oraz umożliwiają ich omijanie. Taki system posiada testowana nawigacja GOCLEVER NAVIO 505TMC, której działanie sprawdziliśmy na trasie Warszawa – Płock – Sochaczew – Warszawa.

NIE STÓJ W KORKACH

Najważniejszym wyróżnikiem nawigacji i elementem, który w głównej mierze podaliśmy sprawdzeniu, jest wbudowany system TMC, czyli Traffic Message Channel. To technologia dostarczania do systemów nawigacyjnych informacji o ruchu drogowym w czasie rzeczywistym. Informacje przesyłane są drogą radiową poprzez RDS (przy użyciu nadajników Radia ZET) oraz dekodowane przez GOCLEVER NAVIO 505TMC, które zostało wyposażone w odbiornik TMC. Dzięki temu urządzenie może wyświetlać komunikaty na mapie, ostrzegać kierowcę o zdarzeniach na trasie oraz wyznaczać alternatywne trasy przejazdu.



Cena: ok. 300 zł
www.goclever.com

O 40 MINUT SZYBCIEJ

Aktualizowane na bieżąco informacje o korkach (w oparciu o system Floating Car Data), wypadkach, robotach drogowych, zamkniętych odcinkach oraz innych utrudnieniach na drogach dostarcza firma CE-Traffic, operator usługi TMC. Na testowym odcinku (w środku dnia) nawigacja czytelnie i, co najważniejsze, rzetelnie poinformowała nas o dwóch stłuczkach oraz o robotach drogowych i ruchu wahadłowym z nimi związanym. Szacujemy, że dzięki temu systemowi zaoszczędziliśmy przynajmniej 40 minut.

Warto również zaznaczyć, że wykorzystywanie kanału radiowego nie wymaga ponoszenia dodatkowych opłat, jak ma to miejsce w przypadku transmisji danych przez sieć GSM. Tym samym z GOCLEVER NAVIO 505TMC kierowca dojedzie do celu szybciej, bardziej komfortowo, bez zbędnych nerwów i niepotrzebnych kosztów.

Wykonanie i podzespoły urządzenia nie odbiegają od standardów rynkowych.

Nawigacja posiada procesor MStar 500 MHz, pozwalający na jednoczesną nawigację i odtwarzanie multimedialnych treści. Zaawansowany układ GPS szybko i precyzyjnie wskazuje pozycję nawet

przy niskim poziomie sygnału. Czytelny, 5-calowy ekran dotykowy o rozdzielczości 480x272 pikseli wyświetla wyraźny i szczegółowy obraz. Spróbowaliśmy odtworzyć na nim film oraz e-booka. Jakość była przyzwoita, choć zauważalnie gorsza niż na smartfonie czy tablecie.

Urządzenie wyposażone jest w 128 MB pamięci RAM oraz 4 GB FLASH, ponadto obsługuje karty microSD o pojemności do 16 GB. To pozwala na przechowywanie i/lub odtwarzanie zdjęć, plików audio, wideo itp. NAVIO 505TMC ma akumulator litowo-polimerowy o pojemności 950 mA. Nam pozwoliło to na 46 minut pracy bez zasilania stałego. Jeśli sprzęt się rozładuje, użytkownik może skorzystać z ładowarki samochodowej (w komplecie). Oprócz niej w zestawie znajdują się jeszcze: kabel USB, uchwyt samochodowy i rysik. W cenie GOCLEVER NAVIO 505TMC jest również mapa Polski. Urządzenie objęto dwuletnią gwarancją, w tym roczną w systemie *door-to-door*.

Podsumowując, można śmiało stwierdzić, że nawigacja ta jest bardzo pomocna i skuteczna w omijaniu utrudnień na drodze. Dodając do tego resztę funkcji oraz przystępną cenę, GOCLEVER NAVIO 505TMC to dobra propozycja dla osób często podróżujących po Polsce – szczególnie drogami krajowymi i wojewódzkimi.

Grzegorz Miedziński

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Nazwa pilaw pochodzi od perskiego słowa *polow*, oznaczającego gotowany ryż. Pierwszy przepis został udokumentowany w X wieku przez perskiego lekarza, filozofa i uczonego Awicennę, który w swoich książkach dotyczących nauk medycznych poświęcił cały rozdział na przygotowanie różnych potraw, w tym kilku rodzajów pilawu. Dziś pilaw popularny jest w byłych republikach radzieckich i Rosji. Podobno na żadnej uczcie nie może zabraknąć tego aromatycznego dania. Pilaw ma w Europie wiele wariacji, podawany jest z rybami, mięsem wołowym lub drobiowym.



Dania można skosztować przez cały marzec w restauracji **4 Strony Świata** w Gdańsku.



PILAW

SKŁADNIKI (dla 4 osób):
czas przygotowania: 45 minut

- 2 piersi z kurczaka
- 250 g ryżu
- 300 ml bulionu
- łyżka ziaren lub garść listków świeżej kolendry
- 1 łyżka maku
- 1 łyżka świeżego, startego imbiru
- 5 ząbków czosnku
- 1 łyżeczka kurkumy (lub szczypta szafranu)
- 5-6 goździków
- 4 łyżki oleju
- sól i pieprz

Ryż lekko podsmażyć na rozgrzanym oleju, dolać bulion i dodać kurkumę (lub szafran). Gotować na wolnym ogniu przez 25-30 minut. Ziarna lub listki kolendry, mak, sól, goździki

i starty imbir rozbić w moździerz. W garnku podsmażyć cebulę i mięso. Dodać czosnek, trochę wody i ugotowany ryż. Doprawić solą i pieprzem do smaku.

Sucha zaprawa

W czasach, gdy infrastruktura narciarska nie była jeszcze rozwinięta, najlepszym sposobem na naukę jazdy były treningi „na sucho”. Odbytywały się w specjalnie przygotowanych do tego salach. W latach 1930. popularnym stylem narciarskim stała się jazda równoległa, propagowana przez Mitcha Gilmana z Austrii.

Narciarze na zdjęciu trenują prawidłowe ułożenie ciała przed wykonaniem skrętu rotacyjnego. Pozwoli on na łatwiejszą zmianę kierunku jazdy, kiedy już znajdą się na prawdziwym, zaśnieżonym stoku.





FOT. WARSZAWSKIE ARCHIWUM CYFROWE

ITATE



WYSPA WIELKANOCNA



MALTA



JAPONIA

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski
naczelny@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl · tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski, Cezary Banasiak,
Józef Baran, Paweł Chara, Maciej Jastrzębski, Michał
Kochańczyk, Marcin Kołpanowicz, Romuald Koperski,
Tomasz Michniewicz, Robert Mazurek, Mirosław
Olszycki, Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress
Artur Bury


Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
tel. 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl

Olga Kołakowska
tel. 501 050 624
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706
grzegorz.miedziński@poznaj-swiat.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam
i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi
przekonaniami ich autorów.

A K T O z nami [NIE] PRZECZYTA...



SAM PIVNIK **O CALAŁY**

Pierwszego września 1939 roku życie Sama Pivnika zmieniło się nieodwracalnie. Przeżył będzińskie getto, a potem przez sześć miesięcy pracował jako więzień na ostawionej rampie w obozie Auschwitz-Birkenau. Teraz Sam Pivnik, już po osiemdziesiątce, opowiada, jak wyratował się z najbardziej niebezpiecznych i przerażających opresji wojennych.

STEFAN WRÓŃSKI **DZIDEK**

Niezwykła opowieść o dawnej Warszawie, o mieście kamieniczników, kupców, Żydów, muzyków, awanturników, doliniarzy i pijaków... Historia o dorastaniu, rodzinie, miłości - słowem o czasach bez troski, nad którymi nieuchronnie zbierają się czarne chmury, by w końcu zmienić się w hitlerowską nawałnicę.

CHARLOTTE CHANDLER **KATHARINE HEPBURN**

Najbardziej intymna i osobista - spośród dotychczas opublikowanych - biografia legendy Hollywood. Oparta na nagraniach z Katharine Hepburn oraz z osobami, które ją znały, książka Chandler przybliża postać i życie wybitnej aktorki, uznanej przez Amerykański Instytut Filmowy za największą gwiazdę wszech czasów.

KRYSTYNA SIENKIEWICZ **CACKO**

To nie jest biografia. Nie ma tu dat, nie ma chronologii, nie ma *ku pamięci*. To zaproszenie do świata lirycznej komediantki, Krystyny Sienkiewicz. Ta książka jest podróżą po życiowych drogach i bezdrożach pamięci, po pięknej krainie zdobionej wyjątkowym gustem i talentem.

AGNIESZKA OSIECKA **FILMIDŁA. GAWĘDY O FILMACH**

Agnieszka Osiecka w roli krytyka filmowego miała przenikliwe oko, rzadkie wycucie stylu i szlachetną niechęć do wodolejstwa. Ta książka to wyjątkowy zbiór recenzji napisanych przez Osiecką w latach 1956-1960 i zilustrowanych ponad 50 plakatami filmowymi z czasów, kiedy kwitła polska szkoła plakatu.



15. Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów

KOLOSY



Gdynia, 8-10 marca 2013

Hala Sportowo-Widowiskowa „Gdynia”
ul. Kazimierza Górskiego 8 (wstęp wolny)

www.kolosy.pl
www.gdynia.pl/spotkania

organizatorzy



MIASTO
GDYNIA



partneri medialni



sponsorzy

